TAJNY FUNDUSZ.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharjasiewicza.

KRAKÓW.
Nakładem wydawnictwa „Kraju“.

Druk Karola Budweisera.
1869.

I.

Dzień 26 września 1815 roku był dniem posępnym i smutnym. Ciężkie chmury zawisły na niebie, a powietrze oziębiło się nagle, jakby była późna jesień. Mieszkańcy naddunajskiéj stolicy, zaskoczeni tak nagłą zmianą, opuścili zamiejskie ogródki i kupili się w szynkach i kafenhauzach, aby o ważnych wydarzeniach dnia dzisiejszego między sobą pomówić.

Był to bowiem dzień ważny w dziejach świata! Trzej monarchowie podali sobie w tym dniu dłonie, i po wieczne czasy i na wszelkie możliwe wypadki zawarli między sobą... święte przymierze!

Była już późna godzina. W skromnie urządzonym gabinecie siedział monarcha,

któremu w tych długich, wiekopomnych naradach wypadła trudna rola gospodarza. Siedział w dużém krześle i patrzał przed siebie z okiem zamyśloném. Na jego zmęczonéj twarzy widać było ślady dzisiejszéj pracy, i dawniejszych przebytych bolesnych katastrof. Usta jego uśmiechały się boleśnie, bo obrazy, które w téj chwili przed nim się przesuwały, nie były wcale rozkoszne!

Dziwne były te obrazy!.. Zasiadł na tronie cesarzem wielkich Niemiec, w płaszczu Karola Wielkiego... a śród gromów nieszczęśliwéj wojny musiał ten płaszcz wraz z koroną złożyć....

Do jego stolicy wtargnął nieprzyjaciel i tam mu prawa dyktował... Nieszczęśliwy, tułający się monarcha dał mu to, co miał najdroższego, dał mu dziecię własne i przyjął go do swojéj rodziny...

Ale niedługo trwały te związki rodzinne. Potrzeba je było rozciąć ostrzem miecza, bo tego wymagała sytuacja państwa i ojciec rozciął je własną ręką!..

I zaczęły teraz przed jego okiem prze-

suwać się niezliczone wojska różnych języków i narodów. A w ślad za niemi szły głód, nędza, mord i pożoga!... Szerokie pola zasłane były trupami, w koło gorzały miasta i włoście!.. I szerokim strumieniem płynęła krew ludzka, która kiedyś żywym świadkiem stanie i świadczyć będzie na wielkim sądzie przed sędzią bezlitośnym!..

Monarcha westchnął i daléj patrzał przed siebie.

Powoli ustawały fanfary wojny, konały jęki rannych, przygasły pożogi i zgliszcza. Zdawało się, że z poza chmur wychylił się kawał błękitu, a na tym błękicie wygięła się w łuk siedmiobarwna tęcza, jako dawny znak przymierza Boga, zawartego z ludźmi!..

Monarcha widział nad sobą tę samą tęczę, a na usta jego zawitał uśmiech szczęśliwy...

W téj chwili otworzyły się drzwi gabinetu. Wszedł dygnitarz z twarzą mocno wyrazistą. Monarcha nie spojrzał wcale na przybyłego. Patrzał jeszcze przed sie-

bie tém samém, zamyśleném okiem czas niejaki. Po chwili, jakby się ocknął, potarł ręką po czole i rzekł:

— Chciałem jeszcze dzisiaj z tobą pomówić, mości książę; ale teraz prawie nierad jestem, że przyszedłeś!

— Czy jego cesarska mość życzy sobie, abym odszedł? — odparł z uniżonością dygnitarz.

— Nie, zostań! — odparł monarcha. — Gdy cię mości książę widzę przed sobą, to mi jakoś lżéj na sercu. Tyś był jedynym świadkiem moich umartwień i tobie wiele zawdzięczam!..

— Najjaśniejszy panie! Tylko drobném narzędziem byłem w ręku Opatrzności....

— Jak sen, jak sen wydają mi się te okropne lata!.. Nie wierzę nawet, żeby to wszystko rzeczywiście działo się na jawie!.. Tyle krwi, tyle nieszczęść, tyle pieniędzy!..

— To siejba historji, najjaśniejszy panie! Potomność zbierać będzie obfite plony....

— Sam nie wiem, jak to wszystko prze-

żyć mogłem!... Tyle okropności, a na ostatek....

— Na ostatek piękny obraz, oświecony ogniem bengalskim!.. Trzech wielkich monarchów podają sobie dłonie i w obec całego świata wymawiają tak piękne i szczytne słowa, na jakiè tylko stać było wiek dziewiętnasty! Zaiste ten obraz godzien Homera!

Monarcha uśmiechnął się tym dziwnym uśmiechem, który go charakteryzował, a który był zawsze na jego ustach, nawet wtedy, gdy koronę niemiecką i płaszcz Karola Wielkiego składał, albo odbierał rozkazy od zwycięzcy z własnéj swojéj stolicy... Uśmiech ten podrażnił trochę dygnitarza. Zarumienił się i rzekł:

— Ludzie przedewszystkiém potrzebują słowa, a słowo monarchy znaczy bardzo wiele. A gdyby nawet nie monarcha ale zwykły śmiertelnik podobne słowa wyrzekł, byłby pewny wrażenia, jakie one sprawić muszą. A cóż dopiero, jeśli trzech monarchów naraz i zgodnie odzywa się do świata, mówiąc: Oto od dnia dzisiej-

szego uważamy ludy nasze jako rodziny, których ojcami jesteśmy! Odtąd tylko miłość rodzicielska i dziecięca wiąże monarchów z poddanymi — między nimi nie ma żadnéj próżnéj przestrzeni! Wzajemnie słyszymy bicie serc naszych i odgadywać możemy życzenia i pragnienia wzajemne! Pokój, miłość i sprawiedliwość niech odtąd zasiędą na tronie, a żadna łza niech nie płynie pokryjomu! Szczęście ludów i narodów to hasło nasze, które w obec całego świata piszemy na naszych chorągwiach! Aby ten wielki i szczytny cel osiągnąć, podajemy sobie ręce i wszyscy trzej przysięgamy sobie miłość braterską i pomoc wzajemną w szlachetnych dążeniach naszych! Wyrzekamy się po wieczne czasy wszelkich zaczepek i wojny między sobą, bo odtąd tylko miłość ma rządzić na ziemi!.. To są główne słowa dzisiejszego przymierza!

— Piękne, ładne słowa!... Zaczynam potrosze sam wierzyć w lepszą przyszłość!

— I narody wierzą wraz z jego cesarską mością!

— Narody?.. Być może. Ty mości książę wiesz o tém lepiéj odemnie!

— Wszystkie raporty w tém się zgadzają, że powszechny zapał i wiara w mądrość monarchy....

— A co mówią Włochy?... to ludzie niespokojnego ducha, podobni do kobiet kapryśnych...

— Włochy, najjaśniejszy panie, jak już raz publicznie powiedziałem, są tylko wyrazem geograficznym. Nie stanowią oni żadnego narodu, któryby miał pretensję i prawo do niezawisłości. W téj mierze nie mamy się od włochów niczego obawiać. Ani ich historja, ani obecne pragnienia, nie dają nam powodu do jakiéjkolwiek obawy. Nigdy nie byli i nie będą narodem. Podzieleni przez długie wieki na osobne, municypalne instytucje, prowadzili wojny między sobą i nigdy nie okazali ochoty do łączności. „Italja“ już dawno umarła, tylko geografowie, niewiedząc jak nazwać ten cmentarz, dali mu powyższe miano. Dlatego jeszcze raz po-

wtarzam: Narodu włoskiego nie ma — a Włochy to tylko wyraz geograficzny!...

Monarcha z pewném zadowoleniem patrzał na dygnitarza, który tak piękne rzeczy mówił. Po chwili jednak mała chmurka wybiegła na jego wysokie czoło. Ozwał się do ministra:

— Jakkolwiek traktaty już podpisane, jednak w wolnych chwilach przychodzą mi różne myśli do głowy. I tak naprzykład ten, jak powiadasz mości książę, „wyraz geograficzny“ często mnie niepokoi. Zdaje mi się, czyby nie lepiéj było dla niemieckiego stanowiska państwa wsunąć się więcéj w Niemcy, a to *verbum geograficum* zostawić za sobą? I tak koszta administracji zwiększają się...

— Pozwól najjaśniejszy panie, abym jeszcze raz krótko powtórzył to, o czém już nieraz miałem zaszczyt mówić w radzie korony. Włochy, ów wyraz geograficzny, ów kraj piękny bez żadnego łącznego narodu, podobny jest do masy spadkowéj, która nie ma prawowitych spadkobierców. Zyskać w takim razie można

wiele, a sposobności takiego zysku nie można pominąć. Włochy dzisiejsze, to puste, zaniedbane pola, które otaczają dziedziczny majątek Austrji. Jak każdy zapobiegliwy dziedzic stara się przyległe pustki do swego majątku anektować, tak i Austrja ma prawo z pustkowia włoskiego korzystać. Do tego wybraliśmy drogę dalszą ale pewniejszą. Wzięliśmy tylko mały kawałek włoskiéj ziemi, bo inaczéj zbudzilibyśmy podejrzenie Europy. Ale po za tym kawałkiem pozakładaliśmy nasze „sekundogenitury,“ które nam w przyszłości tytułem prawego spadku wszystkie te kraiki do naszego majątku wniosą. Wprawdzie potrzeba na to czasu, ale roboty polityczne robią się dla wieków! Taka jest siejba historji.

— Być może, że daléj widzisz odemnie! Przebyte wypadki przyćmiły mój wzrok!

Dygnitarz skłonił się z uniżonością, a twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie z siebie.

— A zresztą, — ozwał się po chwili — w najgorszym razie, mogą kiedyś Włochy

stanowić „sporną Austrję.“ Interesem zaś każdego wielkiego państwa jest mieć rękę w spornéj kwestji, bo wtedy zawsze się coś zarobi. Takie kwestje stanowią węzły historji, do których swoją nitkę nawiązać można!....

W téj chwili zamyślony monarcha powiódł ręką poprzed oczy, jakby jakieś widmo chciał rozpędzić.

— Jestem mocno znużony — rzekł po chwili, a w takim razie dziwne mam przywidzenia... Oto w téj chwili roztoczył się przedemną jeden z tych obrazów, które mnie śród nocy często niepokoją. Ponieważ o Włochach mówiliśmy... zdawało mi się, że śród ogrodów cytrynowych i pól zasianych ryżem, widzę wojska liczne, które walkę z sobą staczają... Zdaje mi się, że widziałem francuzów...

— To reminiscencja owéj pierwszéj kampanji we Włoszech generała Bonapartego, która takim strachem nas nabawiła!... Nieraz sam przypominam sobie te smutne czasy...

— Być może, że przywidziała mi się pierwsza kampanja Napoleona...

— Generała Bonapartego, — poprawił minister i zamilkł, bo monarcha dziwnie się zamyślił.

Długi czas trwało milczenie. Minister czekał na pierwsze słowo monarchy.

— A co sądzisz, mości książę, o polakach? zapytał wreszcie monarcha.

— Z polakami, — odparł minister, — trudniéj się będzie sprawić niżeli z włochami. Najprzód polacy są narodem, który miał długą historję własną, a to znaczy bardzo wiele. Jeżeli który naród tylko kilkanaście kartek w dziejach świata zapisze, to już tych kartek nie można ani zmazać ani wydrzeć. Przy każdéj sposobności stawali polacy z temi kartkami przed opinją świata i koszta sądu płacili mieniem i krwią. Wprawdzie Europa odsądziła ich teraz od tego prawa i myśmy na to zgodzić się musieli, ale tylko zawarte dzisiaj przymierze może nas w téj mierze zupełnie uspokoić. Pretensje polaków podzielone są dzisiaj między trzy

wielkie mocarstwa, a interes osobisty tych mocarstw jest gwarancją, że te pretensje nie narobią nam nigdy kłopotu. W najgorszym razie i ta kwestja może kiedyś stać się „kwestją sporną“ w Europie, a w takiéj chwili korzystnie jest mieć rękę w téj kwestji, bo można ją dobrze zużytkować. Ale i na to trzeba wiele czasu, bo historja mierzy się na wieki... Stańmy więc na trzech wielkich pasmach historji, w Niemczech, we Włoszech i w Polsce, a wszędzie tylko zarobić możemy!

— Daj Boże, — odparł monarcha z tym samym dziwnym uśmiechem, który w połowie ironję a w połowie dobroduszność oznaczał, — daj Boże! Ale przyznam ci się, mości książę, żem już syt wielkich katastrof historji i chciałbym spokojnie dni moje przeżyć. Niech młodzi kłopoczą się nad temi „pasmami historji!“

— Dzisiejsze przymierze stawia w perspektywie długi szereg lat spokojnych i błogich. Motywa tego przymierza, rozesłane po Europie, są tak piękne i szczytne, że rozbroją wszystkich nieprzyjaciół

i sprowadzą dla poddanych państwa te złote czasy, o których piszą mędrce i śpiewają poeci!

Długi czas patrzał monarcha przed siebie. Na ustach jego igrał ten uśmiech dwoistéj natury, który zwolna przechodził w uśmiech gotującego się dowcipu. Charakteryzowało to monarchę, że często tragiczne usposobienie duszy przecinał jakiém wesołém słowem, co nieraz doradców korony wprawiało w niemałe zadziwienie. Nie najlepiéj bowiem wychodzili przy tém.

— Bądź co bądź, — ozwał się z niejaką wesołością monarcha, — uporządkowaliśmy Europę, jak racjonalni gospodarze. Posypaliśmy kopce, wyoraliśmy rowy, pozakładaliśmy folwarki i podzieliliśmy gospodarstwo między ekonomów. Co nam pola urodzą? nie wiemy. Ty książe, przyobiecujesz nam obfite plony. Oby się słowa twoje sprawdziły. Powiadasz, że Włochy są tylko wyrazem geograficznym i że z téj strony żadna burza nam nie grozi. Pozew polski także nam nie sprawi kło-

potu, bo jest nas trzech na jednego, choć ten argument najmniéj mi się podoba... Ale mówisz w końcu, że motywa naszego przymierza są tak piękne i szczytne, że wszyscy nasi poddani z radości i szczęścia krzyczeć będą. Otóż to jest najlepsze słowo, które uspokoić może. Zaufanie i miłość poddanych, to są główne warunki spokojnéj i niekosztownéj administracji państwa. A co się tyczy tego drugiego przymiotnika, o ten mi najbardziéj teraz chodzi. Długie wojny, stagnacja handlu i przemysłu podkopały skarb państwa. Trzeba oszczędności, i to wielkiéj oszczędności!

— Można będzie oszczędzić w wielu gałęziach bardzo wiele!

— Ale z jednéj oszczędności bardzo się cieszę — prawił daléj monarcha z dowcipnym uśmiechem, który dygnitarza trochę w kłopot zaczął wprowadzać, bo nie wiedział, o któréj pozycji monarcha mówi.

— O jakiéj oszczędności? — zapytał po chwili nieśmiało i przenikliwym wzrokiem spojrzał na monarchę.

— Powiadasz mości książę — zwolna mówił monarcha — że to, cośmy zrobili dzisiaj i temi dniami, sprawia powszechną radość w całém państwie naszém. Wielcy i mali cieszą się i śpiewają *hosanna!* Przyobiecaliśmy im miłość ojcowską, wieczny pokój i sprawiedliwość, jakiéj dotąd nie bywało.. Przy tak powszechném zadowoleniu wszystkich ludów naszego państwa, włączywszy w to i owe „pasma historji,“ możemy więc śmiało z naszego budżetu wykreślić pewną pozycję, która ze wszystkich najbardziéj mi się nie podobała, dlatego, że nigdy jéj dostatecznie skontrolować nie mogę!

— Któraż byłaby to pozycja? — po chwili namysłu zapytał dygnitarz z przenikliwém wejrzeniem.

— Ten przeklęty... „tajny fundusz!“ — odparł monarcha i z uwagą spojrzał na ministra.

Uśmiech, na który składały się różnorodne, często najprzeciwniejsze sobie myśli i uczucia, zaigrał na chudéj twarzy dy-

gnitarza. Położył rękę na biurku i rzekł z całą swobodą:

— Myślałem i ja o tém. Pozycja ta w najlepszym razie jest niemoralną. Psują się ludzie, a często dzieją się nadużycia. Gdybym dożył téj chwili i tak błogich czasów, żeby państwo bez takiéj pozycji obejść się mogło, byłbym tak szczęśliwym jak Symeon, gdy obaczył Chrystusa!.. Ale niestety do takich czasów jeszcze daleko. Wprawdzie zbliżamy się do nich, ale na samym początku drogi nie możemy nagle ogołocić się ze środków bezpieczeństwa, do jakich nawykliśmy i państwo się przyzwyczaiło!.. Może być, że późniéj..

Na te słowa powstał szybko monarcha. Uśmiech złośliwy okryty cieniem dobroduszności okolił jego usta.

— Popsułeś mi mości książę — rzekł do ministra — całą radość dzisiejszego dnia. Nagadaliśmy dzisiaj tyle pięknych rzeczy sobie i Europie, a ty kończysz początek téj nowéj ery, przemawiając za „tajnym funduszem.“ Marzyłem, że przecież raz pozbędę się tego niemiłego go-

ścia z mego budżetu, ale marzyłem napróżno. Powiadasz mi teraz mości książę, że aby ludy mego państwa cieszyć się i monarchę swego kochać mogły, potrzeba na to koniecznie — „tajnego funduszu!..“

— Najjaśniejszy panie!..

— Już dzisiaj daj mi pokój! Wierzę, że lepiéj i daléj widzisz odemnie mości książe. Powiadasz, że bez „tajnego funduszu“ rządzić nie można, niechże i tak będzie! Tylko o jednę rzecz was proszę. Od dzisiejszego dnia, w którym rozpoczyna się era wiecznego, błogiego pokoju, pozwólcie mi wrócić czasem do zabawki mojéj młodości. Po tylu bolesnych katastrofach, po rzekach krwi wylanéj, po redukcji banknotów i podpisaniu traktatów wiecznego pokoju pozwólcie mi, że na chwilę o tém wszystkiém zapomnę, a nawet... nawet... o „tajnym funduszu,“ który zawsze mnie alteruje! Bóg z tobą mości książe!

Rzekłszy to skłonił monarcha głowę, a minister dumnym krokiem opuścił gabinet.

Po wyjściu ministra stał monarcha czas niejaki i patrzał zamyślony przed siebie. Potém uśmiechnął się, jakby do myśli przyjemnéj, która w téj chwili poczęła się w duszy jego. Otworzył boczne drzwi, przeszedł jeden, drugi i trzeci pokój. W czwartym zatrzymał się.

Był to mały pokoik i zakrawał na pracownię chemika. Na małym kominku stały tygle. W szafach koło kominka leżały rozmaite, jaskrawe farby w proszkach i sztukach. Po drugiéj stronie widać było różne żywice i wosk biały. Ponad kominkiem wisiały formy podłużne z różnemi napisami i arabeskami.

Była to komnata najmilszych, bo dziecinnych chwil życia monarchy. Skołatany burzą żywota, zmęczony wielkiemi przewrotami w dziejach świata, przyczém sam był i widzem i aktorem, zapragnął dzisiaj wrócić do tych młodych, szczęśliwych chwil życia, w których świeci nad nami tylko niebo jasne lub promienią się gwiazdy śród nocy letniéj!..

Monarcha spojrzał rozmarzoném okiem

na pamiątki swojéj młodości. Obliczył w duchu, ile to katastrof i bolesnych wydarzeń przeminęło od tego czasu, gdy téj komnaty nie widział, gdzie był tak szczęśliwym!..

I ogarniając miłościwém okiem te porzucone pamiątki, witał je jak dawnych, zaniedbanych znajomych i przyrzekał w duchu, że w wolnych chwilach życia znowu je odwiedzi, aby miłém wspomnieniem przenieść się przy nich do szczęśliwszych, błogich chwil, za któremi mu teraz tak tęskno!

A dawni znajomi w szafach i na kominku uśmiechali się do monarchy, który przeszedłszy tyle w życiu i dokonawszy takich dzieł wiekopomnych, wraca znowu do nich, aby zbolałą myśl swoją odświeżyć i na chwilę zapomnieć to wszystko, czego dożył i co przecierpiał!..

I od tego dnia często odwedział monarcha tę komnatę poufną i zajmował się w niéj robieniem laku w różnych kolorach.

II.

Dwadzieścia lat minęło od tego dnia pamiętnego. Sędziwy monarcha nie miał bynajmniéj tego spokoju, jaki mu wtedy był obiecał doradca korony. Wspomnienia jego dziecinne przy kominku z tyglami nasuwały się często chmurami. Często doszedł go głos, który mu miłą zabawę przerywał.

Owe piękne, szczytne słowa, które w owym dniu pamiętnym był ludom swoim ogłosił, traciły z każdym rokiem coraz więcéj uroku. Czasami nawet były chwile, w których zdawały się być czystą ironją! A im więcéj wiara w te piękne słowa zachwianą być się zdawała, tém groźniéj rosły cyfry „tajnego funduszu,“ który miał

być owym ciepłym, wiosennym deszczem, pokrzepiającym owe złote ziarna, rzucone wówczas w ziemię niewdzięczną...

I okazało się, że owo na wieczne czasy zawarte przymierze wymagało pewnych poprawek. Ów gmach wiecznego pokoju i szczęścia ludów począł się rysować. Potrzeba było te rysy zbadać, zatrzeć, a na wypadek grożącego niebezpieczeństwa coś uradzić. W tym celu powtarzały się jeszcze kilka razy zjazdy trzech sprzymierzeńców, na których radzono nad dziełem pokoju wiecznego.

Najfatalniejszym rezultatem wszystkich tych zjazdów i narad była konieczność powiększenia „funduszu tajnego.“ Skołatany tyloma burzami monarcha nie mógł pojąć, jakim sposobem ten „tajny fundusz,“ który sami poddani płacić muszą, może się do ich szczęścia przyczynić! A przecież tak mu mówili doradcy korony... I wszyscy doradcy trzech sprzymierzonych koron w tym jednym punkcie byli jednego zdania.

I piękne, błogie marzenia monarchy

rozbiły się i znikły jak mgły jesienne. Uleciały wraz z dymem żywicy ponad kominkiem z tyglami. Szczęście ludów musiało się okupować... „tajnym funduszem.“

Najprzód martwy „wyraz geograficzny“ zaczął się ożywiać i burzyć. Doradca korony nie mógł tego w żaden sposób wytłómaczyć. Wprawdzie były podania, że umarli z grobów czasem wstają, i dla jakiéjś zaniedbanéj pokuty upiorami po ziemi chodzą. Książę-minister byłby chętnie wszystkim upiorom na świecie darował kary i pokuty, byle tylko z trumny nie wyłaziły i błogiego spokoju ludów nie zatruwały; ale Włochy-upiory nie słuchały go jakoś.

Potrzeba więc było na wszystkich drogach poustawiać tajne straże, któreby je śledziły i dla dobra reszty mieszkańców kraju w ręce nieubłaganéj sprawiedliwości oddawały...

I aby słowa szczytne wiecznego przymierza nie stały się czczym frazesem, aby ludy i narody po wieczne czasy szczęśliwemi były, uradzili doradcy korony, aby

podziemia więzień zapełnić wszystkimi tymi, którzy w to szczęście nie wierzą i według wyroku księcia-ministra nie chcą być martwym „wyrazem geograficznym.“

I zapełniły się podziemia Szpilbergu i Kufszteinu, ale stało się przy tém jedno nieszczęście. Ofiary zamknięto na dwadzieścia sążni pod ziemią, ale na ziemi została pamięć po nich, która chyżo biegła od domu do domu, od miasta do miasta!.. Osadzeni w podziemiach „karbonarjusze“ zostawili za sobą liczne nasienie....

Dla mądrych doradców korony, stała się rzecz arcydziwna. Martwy „wyraz geograficzny“ począł się ożywiać i mówić, jak mówi każdy inny naród. .

— Potrzeba powiększyć „tajny fundusz“ — rzekł razu jednego do strapionego monarchy minister, gdy właśnie o kłopotach z Włochami długi czas rozprawiali.

Monarcha uśmiechnął się znowu tym właściwym sobie uśmiechem i odparł:

— Kiedy w teatrze widziałem Macbetha, który przy tronie swoim ma na straży najętych łotrów, gniewałem się zawsze na

Szekspira, że taką głupią rzecz wymyślił. Teraz widzę, że Szekspir był wielkim znawcą tego wszystkiego, co trony otacza!...

Przelotny rumieniec przebiegł po twarzy ministra. Z głębokim jednak spokojem odparł:

— Najjaśniejszy panie! Tém więcéj powinieneś cenić tych, którzy dla twojéj miłości nie wstydzą się takiego towarzystwa.

— Że ich wysoko cenię, — odpowiedział monarcha z dowcipnym uśmiechem — dowodem tego jest powiększony „tajny fundusz!“....

Po tych słowach, dzięki zabiegom ministra, panował czas niejaki głuchy, prawie grobowy pokój. Przerywały go tylko czasami małe utarczki z powodu cła i traktatów handlowych. Jakkolwiek bowiem towarzysze wiecznego przymierza nazwali się braćmi i wieczną przyjaźń sobie poprzysięgli, wyrzekając się na zawsze wszelkiéj wojny między sobą, mimo to prowadzono od czasu do czasu tajną, lecz krwawą walkę, która jednak często większéj była doniosłości, niżeli bitwa pod Lipskiem!

Jeden osobliwie z trzech sprzymierzeńców, spadkobierca zaborczych planów zakonu krzyżackiego, urządzał się w obec sąsiedzkiego, pobratymczego państwa w taki sposób, który w późniejszych latach mógł mu dostarczyć środków i sił do przyszłych planów. Odgadywano to trochę w stolicy naddunajskiéj, walczono przeciw temu cłami i traktatami handlowemi, ale walczono słabo i niedołężnie.

Wśród tego otworzyła się druga rana państwa. Warszawa podniosła sztandar Polski...

Była to fatalna próba świętego przymierza. Doradcy korony długo radzili nad tém. Według brzmienia przymierza, wszystkie trzy mocarstwa winny były potępić ten akt buntu i w razie potrzeby przyrzec sobie pomoc wzajemną. Ale książę-minister był teraz innego zdania. Nie wierzył on zupełnie we własne dzieło swoje, bo każdy człowiek omylić się może. Wprawdzie zobowiązanie się trzech na jednego mało dawało nadziei powstaniu Warszawy... ale... ale... mogły zajść wypadki, po-

wstanie mogło urość i rozszerzyć się, inne mocarstwa, korzystając ze sposobności.... słowem powstania polskiego przed czasem nie można było należycie ocenić. A przecież było to jedno z owych „pasm historji,“ do których można było, według słów ministra, nawiązać własną nitkę. Z postępem sprzyjających okoliczności mogło powstanie polskie stać się w Europie „kwestją sporną,“ przy któréj cośby zarobić się dało...

W najtajniejszym więc gabinecie monarchy, tuż niedaleko owego kominka z tyglami, przedstawił książę-minister następujący program: Sprzymierzeńcowi i sąsiadowi oświadczyć z powodu buntu w Warszawie lojalną kondolencję i w razie potrzeby przyrzec gotowość zbrojnéj pomocy. Stosownie do tego aktu urzędowego, rozciągniono wzdłuż brzegów Wisły kordon wojskowy... A równocześnie z takiém oświadczeniem wysłano do gubernatora Galicji poufne instrukcje, aby organa rządowe nie drażniły postępowaniem swojém patrjotycznego uczucia polaków i

w obec wypadków za Wisłą zachowały się... z pewnym taktem.

Po wysłaniu takich instrukcji mówiono w tajnym gabinecie monarchy, z zachowaniem wszelkiéj ostrożności, o możliwym przebiegu powstania polskiego i na wypadek pomyślnéj sytuacji przeznaczono kandydata dla tronu w Warszawie...

Po tych tajnych naradach długi czas nie wracał sędziwy monarcha do swoich wspomnień dziecinnych. Kominek z tyglami i szafki z żywicą i farbami stały długo osierocone. Monarcha przez cały ten czas chodził zamyślony i nie mógł w żaden sposób rozjaśnić myśli swoich. Nie mógł tego pojąć, jak można pozornie komuś przyrzekać przyjaźń, a równocześnie obliczać korzyści z jego nieszczęścia. Kilka razy przychodziło mu do głowy, czyby nie było lepiéj rozwinąć otwarcie sztandar, tak jak go niegdyś rozwinął przeciw własnemu swemu zięciowi...

Wytłómaczono monarsze, że tak każą postępować zasady polityki i dyplomacji, i — monarcha wrócił znowu do kominka

z tyglami, przy którym nie widział tego co go zawsze martwiło....

Niejasną instrukcję z Wiednia zrozumiały organa galicyjskie doskonale. Pułk węgierski stał nadzwyczaj rzadko nad Wisłą, a żaden rodowity węgier nie zatrzymał polaka-brata, który na drugą stronę rzeki dążył. Komisarze cyrkułowi byli wprawdzie przez trzydzieści dni w miesiącu na rewizjach i przejazdkach po dworach (jeden z nich naliczył nawet w nadzwyczajnéj gorliwości i w lutym dni trzydzieści, jak się to z rachunków djet okazało), ale żaden z nich nie spotkał nigdzie ciągnącego do powstania ochotnika, choć ich z Galicji — według późniejszych obliczeń — wyszło przeszło trzydzieści tysięcy!...

Ale „pasmo historji“ nie mogło się jakoś gładko rozplątać. Książę-minister spostrzegł, że powstania Europa nie popiera, a zostawione własnym siłom upaść musi. Wysłano jaśniejsze instrukcje do rządowych organów Galicji, a nazwisko kandy-

data do tronu polskiego wymazano starannie.

I dziwna rzecz. Ciż sami komisarze obwodowi chwytali teraz na wszystkich drogach rozbitków, którzy gościnności na neutralnéj ziemi szukali. I tych samych, dla których przyszłego króla gotowano, zakuwano teraz w kajdany i z wielką uniżonością wydawano tryumfującemu sąsiadowi. Wojska węgierskie na granicy zastąpiono wojskiem niemieckiém, które wraz z komisarzami, jakby na dzikiego zwierza, istną obławę wyprawiało na znużonych z trudu i znoju rozbitków polskich...

I znowu martwił się sędziwy monarcha przy kominku z tyglami, że świat i historja tak nie postępują, jak doradcy korony mu przyobiecali. Owe błogie czasy wiecznego szczęścia ludów oddalały się coraz więcéj od niego! Patrząc na bliski grób, który już o kilka kroków czernił się przed nim, nie zaznał nawet tego uczucia, jakiém uspokoił się Mojżesz, patrząc z góry wysokiéj na ziemię obiecaną, do któréj dojść mu nie pozwolono!... Mo-

narcha nie dojrzał bynajmniéj owego przyobiecanego raju na ziemi, gdzie wszystkie ludy i narody, jako rodziny chrześćjańskie w zgodzie i miłości z panującymi żyć będą...

Zamiast tych przyobiecanych rozkoszy zawiała nawet z Galicji chmura ciężarna burzą...

Książe-minister opowiedział monarsze w tajnym jego gabinecie dziwne rzeczy. Według raportów władz najwyższych Galicji, zaledwie uratowano tam zagrożony porządek i spokój kraju. Zeszło się tam bowiem wiele emigrantów, którzy przycichłą na błoniach Warszawy walkę chcieli nanowo podjąć i daléj prowadzić. Zmieniono taktykę prowadzenia wojny i zgodzono się na system „partyzantki." Z górnych stron Galicji, jakby z gniazd orlich miały wylatywać pojedyncze oddziały, niepokoić, bić za Wisłą nieprzyjaciela i wracać na wypoczynek do swoich kryjówek.

Zdaje się, że w tym razie nie liczono w radzie korony na pomyślność nowéj walki. Zaraz więc z początku wydano od-

powiednie rozkazy. Trzeba przyznać, że i tym razem komisarze obwodowi tak się dobrze spisali, że nietylko kilkunastu „partyzantów“ złowili, ale nawet najspokojniejszych mieszkańców dworów i dworków setkami do „prowizorycznych“ kazamat pozamykali.

Z pierwszych badań obwinionych okazało się wprawdzie, że „partyzanci“ przeciw państwu austrjackiemu w niczém nie przewinili. Względy jednak wyższéj polityki, jak się wyrażali doradcy korony, kazały partyzantów uważać poprostu za „zbrodniarzów stanu“ i według kodeksu karać. A głównym względem téj „wyższéj polityki“ miało być naprawienie błędu, który popełniono podczas polskiego powstania przypuszczając niektóre ewentualności, a o czém dowiedziano i wielce chmurzono się w Petersburgu...

Więzienia więc galicyjskie napełnione były od piwnic do strychu zbrodniarzami politycznymi, którzy zwyczajem w kryminałach galicyjskich praktykowanym, mu-

sieli trzy lub cztery lata czekać wyroków kary lub uniewinnienia....

Z tegoż samego powodu zażądały władze galicyjskie nadzwyczaj wielkiej cyfry tak zwanego „tajnego funduszu,“ który od czasu wiecznego przymierza monarchów i wiecznego szczęścia ludów zaczął róść do rozmiarów zatrważających. Zdawało się, że obok widocznych organów rządu i porządku, jest jakaś inna niewidoma administracja państwa, która czuwa nad szczęściem ludów...

Monarcha nie miał teraz przy kominku z tyglami ani chwili spokoju. Czarne widma przyszłości trwożyły go. Przychodziły one z najodleglejszych krajów koronnych w najrozmaitszych postaciach raportów policyjnych. Zdawało się, że na owych „pasmach historji“ zbierają się gromy niedalekiéj przyszłości!...

Na kilka kroków przed rozwartym grobem chciał monarcha coś dla swego sumienia uczynić. W sprawie uwięzionych wydał odezwę do kraju, „że wszyscy ci polacy, którzy po 4 marca 1834 wykro-

czywszy co przeciw Rossji, szukali i znaleźli przytułek w państwie austrjackiém, jeżeli przeciw rządowi austrjackiemu nie okażą się winnymi, nie będą ani karani w państwie austrjackiém, ani do Rossji wydani."

W rok po téj odezwie, kiedy sądy galicyjskie jeszcze nie rozstrzygnęły, czy uwięzieni wykroczyli przeciw państwu austrjackiemu czy nie, ujrzał monarcha zbliżający się kres życia...

Koło łożnicy monarszéj zgromadziła się rodzina i dygnitarze...

Z przytomnością umysłu rozporządzał monarcha swojém mieniem doczesném.

— A cóż, najjaśniejszy panie, zapiszesz ludom swoim? — zapytał w końcu jeden z dygnitarzy.

Uśmiech bolesny przebiegł po ustach konającego. Milczał chwilę a potém rzekł:

— Mówiono mi przez całe życie, że ludy moje kochają mnie. Oddaję im więc to, co mi dały, zapisuję im moją miłość, moje serce!

Za kilka chwil rozesłano tajnym stróżom państwa smutną wiadomość i polecono im, aby nad cennym legatem nieboszczyka monarchy troskliwie czuwali....

III.

W tym samym dniu umarł we Lwowie jeden z więźniów politycznych.

Śmierć człowieka, który śród zwyczajnych akcesorji życia jawnie umiera, nie ma w sobie nic nadzwyczajnego. W większém mieście powtarza się to codziennie, i tylko najbliżsi krewni i znajomi czują cios, który ich dotknął.

Inne jednak wrażenie sprawia śmierć, osłoniona grubemi murami i potrójną strażą więzienia, śmierć człowieka, który w obec mieszkańców występuje w jasnéj glorji ofiary!..

Już sama tajemniczość budzi w wyobraźni najjaskrawsze obrazy. Powstają wieści straszne, okropne. Czy mają one grunt

w rzeczywistości, czy nie, o to nikt nie pyta. Wszystko jest prawdopodobne wtedy.

To też przy schyłku drugiego dnia nadeszła ze stolicy państwa sztafeta, czarną pieczęcią zamknięta, nie sprawiła na mieszkańcach miasta szczególnego wrażenia. Nawet i legat nieboszczyka monarchy nie przyszedł w porę, bo tajemnicza śmierć więźnia w kryminale karmelickim przeczyła temu legatowi jak najwyraźniéj. Nie mógł gorszéj chwili wybrać sobie więzień, aby się rozstać ze swoją kazamatą.

Wszyscy mieszkańcy byli tylko śmiercią więźnia zajęci. Śmierć monarchy odbyła się według normalnych praw natury, a w śmierci więźnia domyślano się różnych anormalności, które podchwycone przez wyobraźnię, objawiały się stosownie do warstwy mieszkańców, w najrozmaitszych i najjaskrawszych kolorach!..

I tak, ślusarz, mieszkający tuż obok muru karmelickiego, opowiadał wszystkim sąsiadom swoim, że na dzień przed śmiercią więźnia, o północy, słyszał głuchy jęk, jakim tylko człowiek na torturach jęczéć

może... Czeladnik od siodlarza widział téj saméj nocy ze swego dymnika, który mu służył za okno, na korytarzu więziennym wiele świateł ruchomych, podobnych do rozpalonych pochodni, a śród nich człowieka, który zdawał się być obnażony... Praczka jakaś na Zielonem miała opowiadać, że w tym czasie otrzymała od strażnika kryminalnego nader cienką koszulę do prania, która była cała krwią zbroczona...

Młodzież idealniéj wyobrażała sobie nieszczęśliwego bohatera. Miał on mieć w ręku wszystkie nici organizacji partyzanckiéj, a że nie czuł w sobie dosyć siły, aby wszystko w tajemnicy do końca zachować, zadał sobie sam cios śmierci, aby tajemnicę, która była własnością narodu, wraz z nim do grobu schowano!

Najwięcéj wiary znalazło opowiadanie ludzi, o których zazwyczaj się mówi, „że coś wiedzieć mogą.“ Opowiadali oni, że jeden z sędziów śledczych wpadł na szczególny pomysł, aby więźnia do zeznania przymusić. W tym celu w jednéj kazama-

cie, w któréj siedział przyjaciel więźnia, kazał w nocy postawić trumnę, a w trumnie położył strażnika kryminalnego, który z twarzy tego przyjaciela mógł przypominać. O północy każe budzić więźnia i sam wprowadza go do kazamaty z trumną....

— Widzisz pan — ozwał się do przestraszonego więźnia — jak życzliwym ci jestem! Jako sędzia nie powinienem tego robić, ale mam litość nad tobą. Teraz możesz wszystko o nieboszczyku wyznać, a wiész dobrze, że wyznanie takie może być pod wieloma względami dla ciebie i dla sprawy twojéj bardzo korzystném!

Nieszczęśliwy więzień miał uwierzyć tym słowom swego inkwizytora, i jeszcze téj saméj nocy pod wrażeniem trumny z nieboszczykiem, opowiedział wszystko, co wiedział o nieboszczyku... Gdy jednak na drugi dzień nieboszczyk zmartwychwstał, a biedny więzień swoje wyznanie w oczy miał mu powtórzyć, uczuł tak wielkie wyrzuty sumienia, że z rozpaczy się zagładził!..

Słowem tajemnicza, murami więzienia okryta śmierć więźnia poruszała całą ludność miasta. Ktokolwiek przechodził ulicą Halicką, zatrzymywał się mimowolnie przed więzieniem karmelickiém i dziwném okiem mierzył grube, tajemnicze kraty, które wszystkie więzienne tajemnice od świata przedzielały...

I jakoś dziwnie zdarzyło się tego dnia, że przechodzących ulicą Halicką było daleko więcéj, niżeli kiedyindziéj, i że wszyscy, chociaż z trwogą i obawą, patrzyli w przechodzie na orła dwugłowego, na kraty żelazne i podwójną straż, stojącą przy bramie więzienia!..

Zaniepokoiło to policję. Zwołano ajentów i nakazano im czuwać nad niezwykłym ruchem miasta.

Nad wieczorem drugiego dnia zeszło się dwóch ajentów w szynku „pod czerwonym rakiem.“ Pokrzepiając swe siły, wyczerpane całodniowém, bezowocném patrolowaniem, rozmawiali o potwornych pogłoskach, jakie krążyły po mieście wskutek śmierci więźnia politycznego.

— Wolałbym łapać złodzieja, — ozwał się jeden, — niżeli chodzić po ulicach Bóg wie za czém! Komisarz kazał nam schwytać ducha mieszkańców, jakby kto kiedy ducha mógł złapać!

— Ty nie zrozumiałeś komisarza, — odparł drugi, który jak się zdawało, stał na wyższym stopniu cywilizacji, — komisarz chce wiedzieć, jaki duch panuje między mieszkańcami miasta z powodu tak niedorzecznych pogłosek, jakie obiegają od śmierci więźnia.

Ajent łyknął ze szklanki, podumał chwilę, a westchnąwszy głęboko rzekł do towarzysza:

— Nie wiem, jak człowiek długo na tym głupim żołdzie popasać będzie. Gdy była sprawa ze złodziejami, to jeszcze jakoś można było wymaganiom służby zadość uczynić. Teraz zaś, gdy od nas żądają, abyśmy to wszystko wiedzieli, co ludzie w zamkniętych pokojach między sobą cicho rozmawiają, to już trudno wytrzymać. Wczoraj powiedział mi komisarz, że mnie odpędzi, jeśli jutro z jakim cie-

kawym raportem nie przyjdę. Powiada, że darmo chleb jem. A zkądże-tu wziąć tego raportu?

— To prawda, — odparł zamyślony towarzysz, — służba nasza z każdym dniem trudniejsza!

— Ludzie po szynkach mówią jedno i to samo. Panowie zaś nic do nas nie mówią, a na ulicy przecież nikt nie wyjawi tego, co mu tam po głowie biega!

— Ja od tygodnia nie zrobiłem żadnego połowu! Dzisiaj wypomniał mi to komisarz.

— I zaraz powiada, że chleb darmo jemy! A jak człowieka odprawią....

Tu nastąpiła pauza między skłopotanymi o kawałek chleba ajentami. Pociągnęli kilka haustów z świeżych szklanek i zadumali się nad zagrożoną swoją przyszłością.

Nagle jeden uśmiechnął się, jakby myśl jaką uchwycił i rzekł do towarzysza:

— Przychodzi mi coś do głowy, jeśli na to przystaniesz... Jużcić bez raportu przed komisarzem stanąć nie możemy.

Nawymyśla i odpędzi. Trzeba mu coś koniecznie powiedzieć...

— Ba, ja już nad tém cały dzień przemyśliwam, a nic wymyśleć nie mogę.

— Możemy powiedzieć, że podsłuchaliśmy ludzi zmawiających się na wykradzenie nieboszczyka...

— A cóż im do kata, po nieboszczyku? Woleliby przecież jakiego żywego więźnia wykraść!

— Ty mój bracie nic z tego nie rozumiesz!.. Więźnia żywego z karmelitów wykraść nie można, ale trupa można swobodnie wykopać z grobu dla różnych celów spiskowych...

Niższéj nauki towarzysz nie mógł tych słów dobrze zrozumieć. Dziwném wydało mu się wykopywanie trupa z grobu. Długo wyjaśniał mu kolega, że takie rzeczy w świecie się praktykują, a nawet opowiadał mu, że w czasach przedrewolucyjnych w Warszawie coś podobnego stać się miało.

Opowiadanie o wykopywaniu trupów dziwnie podziałało na wyobraźnię ajenta. Stanęły mu przed oczy wszystkie tragi-

czne akcesorja takiéj wyprawy nocnéj. Już sama myśl o tém łechtała wyobraźnię i tworzyła w niéj dziwnie fantastyczne obrazy....

Przy piątéj szklance stanęła między ajentami ostateczna umowa. Mieli niezależnie od siebie, ale równocześnie zeznać przed komisarzem, że zasłyszeli od nieznanych, lecz mocno podejrzanych ludzi coś o odkopaniu nieboszczyka więźnia po jego pogrzebie. Do tego mieli jeszcze dodać różne naprzód umówione szczegóły, które to opowiadanie prawdopodobném czyniły.

Dwa takie raporty, od dwóch ajentów równocześnie złożone, chociaż każdy z nich niby inną drogą doszedł do wiadomości o gotującym się zamachu, miały być cechą niezaprzeczonéj prawdy tego, co ajenci słyszeli. A przedewszystkiem miały udobruchać zagniewanego komisarza, i zagrożonym utratą chleba zabezpieczyć najbliższą przyszłość!

IV.

Kiedy uszczęśliwieni tak genjalną myślą ajenci czule się żegnali, aby po niejakim czasie różnemi drogami zdążyć z raportami do komisarza policji, przeszedł koło nich wysoki mężczyzna szerokim płaszczem owinięty i prosto pokierował swe kroki do bramy kryminału.

Było to w pierwszych dniach marca. Księżyc był w pierwszéj kwadrze, i nie oświecał dobrze pogrążonéj w smutku stolicy. Rzadko porozwieszane lampy napełnione olejem, słabe rzucały światło na przechodzących. Do tego żadna gwiazda nie błyszczała na niebie, bo ponad dachami miasta unosiła się jakaś ciemna, nieruchoma mgła, która ani na ziemię upaść, ani do góry podnieść się nie mogła.

Stojący przed bramą strażnik kryminalny zatrzymał wchodzącego i z uwagą w twarz mu zajrzał. Wnet jednak, oddawszy mu ukłon należyty, otworzył bramę i starannie za nim zamknął.

Wysoki mężczyzna przeszedł szybko wszystkie straże w długim korytarzu.

— Czy jest jeszcze? — zapytał ostatniego strażnika, wskazując ręką na drzwi okazalsze od innych.

— Jest panie sędzio! — odparł z uniżonością strażnik i odprowadził pytającego pod drzwi wskazane.

Cicho otworzyły się drzwi. W głębi obszernego pokoju siedział przed biurkiem średniego wzrostu mężczyzna. Był do drzwi zwrócony plecami. Wchodzący gość widział, jak z pośpiechem do szuflady coś chował i starannie na klucz ją zamykał. Nieokreślony uśmiech przebiegł po twarzy wchodzącego.

— A... — ożwał się siedzący przy biurku, — to ty sędzio? Nastraszyłeś mnie. Byłem tak zamyślony, że nie słyszałem

kiedy przyszedłeś. Do tego jeszcze ten nieboszczyk na dole...

— Nieboszczyk na dole — odparł sędzia — niewiele mnie obchodzi, ale spokoju mi nie daje ten drugi nieboszczyk, który w téj chwili jest o sto mil od nas, a jednak zdaje mi się, że go widzę na własne oczy!..

— Tfu, o samych nieboszczykach mówimy! Na samą myśl robi mi się zaraz mdło...

Rzekłszy to, otworzył zwolna szufladę, którą przed chwilą tak starannie zamykał i wydobył z niéj graniastą z płynem przeźroczystym flaszkę. Sędzia spojrzał ze złośliwym uśmiechem na tę flaszkę. W uśmiechu tym malowała się jakaś radość ukryta. Patrzał z uwagą na gospodarza, który w téj chwili korek wyciągnął.

— Może łykniesz trochę, sędzio, — ozwał się gospodarz, podając gościowi flaszkę, — to jest najlepszy antydot na wszystkich nieboszczyków, którzy blisko i daleko od nas w téj chwili się znajdują. Więc zdrowie nieboszczyków!

Dobry humor gospodarza sprawił na gościu jakieś nieprzyjemne wrażenie. Skrzywił się, jakby gorzki likwor poczuł w ustach. Przymuszając się jednak do uśmiechu, pochylił głowę na znak podziękowania i odparł:

— Szanownemu panu nigdy nie brak dobrego humoru. Jakkolwiek przykład przełożonego powinien podwładnych do wszystkiego zachęcać, tym razem jednak nie mogę jakoś być posłusznym. Być może, że za drugim, trzecim lub czwartym haustem nabędę więcéj ochoty. Powietrze i tak wilgotne, możeby nawet hauścik...

— Zaczekaj, — odparł przełożony z pewną powagą, — ponieważ powiadasz, że moj przykład powinien cię zachęcić, więc poświęcając się dla ciebie, aby tém więcéj na ciebie działać, pozwolę jeszcze sobie mały hauścik...

W obszernym pokoju nastała teraz cisza grobowa. Tylko w krtani gospodarza odzywał się dziwnie akcentowany głos lejącego się płynu. Sędzia z większém zadowoleniem patrzył na gospodarza.

— Powiedziałeś sędzio, — rzekł po niejakim czasie, — że ten nieboszczyk o sto mil ztąd niepokoi cię!

— I dlatego właśnie, obaczywszy światło w oknie, przyszedłem do pana, — odparł krótko zapytany.

— Może jakie niepomyślne wiadomości, może bunt w stolicy...

— Buntu żadnego nie ma. Wiedeńczycy jakoś nieradzi są dla sędziów swoich.

— Jak to rozumiesz, że wiedeńczycy nieradzi są sędziom swoim? Przecież nic takiego nie słyszałem...

— Czémże jest wódz bez wojny? Czém jest lekarz bez chorych? A czém sędzia bez zbrodniarzy?

Mimo ożywionych już nieco oczu, spojrzał gospodarz z nadzwyczajną uwagą na mówiącego. Myślał czas niejaki nad słowami, które tenże wyrzekł, z widocznem zajęciem. Po chwili odparł:

— Masz słuszność, sędzia bez zbrodniarzy, wódz bez wojny, a lekarz bez pacjentów djabła warci! To tak mi się wydaje, jakby kto miał graniastą flaszkę,

dobrze korkiem zaszpuntowaną, ze złoconą etykietą na brzuchu, a w niéj żadnego likworu!.. Tak, tak, jak wody nie ma, to i młyn stanie!

— Otóż właśnie to mnie niepokoi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zabraknie nam wody na nasze młyny.

— Co mówisz? A to jakim sposobem! Przecież nic nie ma w perspektywie...

— I owszem, ja widzę smutną perspektywę i dlatego chciałbym z panem słówko pomówić.

— Słucham cię, słucham, i to z całą uwagą. Rzecz zdaje się być ważną...

Sędzia pomilczał chwilę jakby myśli zbierał, potarł ręką po czole i ozwał się:

— Mamy w ręku niedoszły spisek „zemsty ludu,“ mamy kilkunastu emigrantów, którzy się nazywają „partyzanci“ i z bronią w ręku walczyli przeciw sąsiedniemu mocarstwu — słowem na pozór materjał wyborny dla czynności sądowych. Można się w takiéj czynności odznaczyć i za rozsądne i mądre prowadzenie sprawy niepospolitą nagrodę otrzymać. Jest to nie-

jako próba zdolności i gorliwości sędziowskiéj. Tymczasem dzisiaj wszystko to może nam z rąk wypaść...

— To być nie może! Co mówisz! Nie widzę najmniejszego powodu...

— Pierwszym powodem téj smutnéj ekspektoracji jest, że cała ta sprawa dotąd nie okazała się taką, jaką właściwie byćby mogła. „Partyzanci“ uporczywie twierdzą, że przeciw Austrji nie mieli żadnych buntowniczych zamiarów. A nawet herszt ich, Józef Zaliwski, utrzymuje nader naiwnie, że w pewnych ewentualnościach, to jest, jeźli Rossja wmiesza się w wojnę z wicekrólem Egiptu, sama Austrja pomoże partyzantom. Przy tak naiwnych zamiarach spiskowych cóż tu robić?

Przełożony zamyślał się głęboko na te słowa podwładnego.

— A jeśli przytém zostanie — prawił daléj sędzia — to z wielkiéj chmury zrobi się mały deszczyk. A w końcu będziemy musieli emigrantów i partyzantów na wolność wypuścić, bo tak każe odezwa nieboszczyka monarchy, który wyraźnie powiada:

„wszyscy ci polacy, którzy po 4 marca wykroczywszy co przeciw Rossji, szukali i znaleźli przytułek w państwie austrjackiém, jeżeli przeciw rządowi austrjackiemu nie okażą się winnymi, nie będą ani karani w państwie austrjackiém, ani do Rossji wydani!“

— Ba, — przerwał szybko przełożony, — przecież sąd jeszcze nie orzekł, czy wykroczyli przeciw państwu austrjackiemu, czy nie! *Sub judice lis est* — okaże się po ukończeniu inkwizycji!

Sędzia rozśmiał się z cierpką ironją. Chwilę milczał rysując na stole różne figury.

— Wprawdzie już rok minął, — rzekł w końcu, — jak sąd przygotowuje materjały do orzeczenia winy partyzantów, ale materjały dotychczasowe niewiele warte!.. Do tego jeszcze, nowy następca tronu, jak zwyczaj każe, może dać powszechną amnestję...

— Ależ sędzio, co mówisz! Zkąd ci takie czarne myśli przychodzą!

Sędzia rozśmiał się z wielkiém zadowo-

leniem. Słowa przełożonego, jakkolwiek tenże nie był już w bardzo trzeźwym stanie, sprawiły na nim miłe wrażenie. Zatarł ręce i mówił daléj z uśmiechem:

— Tak, tak, w pustych kancelarjach mogą nas naprawdę nachodzić czarne myśli! Nic gorszego nad próżniactwo, nad brak zatrudnienia! Do tego jeszcze utrata pewnych marzeń...

— Marzeń?— podjął szybko gospodarz jakby się ocknął, — jakich marzeń?

— Spodziewam się,—prawił daléj z żartobliwym uśmiechem sędzia, — że każdemu wolno marzyć. Żołnierz marzy o laurach, baletniczka o bukietach, a lekarz o tém, co mu pacjent wsunie do ręki.... Dlaczegóż niewolno sędziemu, który ważną sprawę dostał do ręki, marzyć o świetnym referacie téj sprawy, o kunsztownie wybranych motywach wyroku, — wreszcie o treściwém, genjalnie skreśloném sprawozdaniu dla ministra, jak się zazwyczaj dzieje przy sprawach politycznych?.. *Cantu cognoscitur avis*, a referent kryminalny

dałby się takiém sprawozdaniem bliżéj poznać ministrowi...

— Słusznie, bardzo słusznie mówisz! Ale cóż ztąd wypływa?

— Ztąd to wypływa, że te marzenia spełzną na niczém, bo więźniów niezawodnie trzeba wypuścić stosownie do odezwy nieboszczyka monarchy... albo za amnestją!

Na te słowa gospodarz nic nie odpowiedział. Milczenie panowało chwil kilka. Poczém prawił sędzia daléj:

— A jednak, jestem prawie przekonany, że spisek „zemsta ludu“ i tak zwana „partyzantka“ również skierowaną była także przeciw Austrji. Możeby znalazły się jakie dowody...

— Dotąd ich nie ma, i nie wiem wcale, zkądby ich wziąć można! Wprawdzie plecie tam coś jeden emigrant, ale to wszystko nie ma podstawy!

— Zdaje mi się, że zręcznie możnaby je znaleźć. Znam jednego więźnia, który w téj mierze mógłby nam dostarczyć ma-

terjałów.... Jeżeli pan pozwoli, to mogę zaraz spróbować.

Rzekłszy to, wziął ze stolika dzwonek i silnie zadzwonił.

— Numer 46! — krzyknął do dozorcy, który w téj chwili drzwi otworzył.

Była to już dosyć późna godzina. Zdaje się, że sędzia liczył także na efekt téj późnéj godziny.

I nie omylił się wcale. Za kilkanaście minut bowiem wszedł do kancelarji więzień cały blady i drżący. Rozcierał oczy, jakby go śród snu nagle porwano. Na jego twarzy malował się przestrach i jakaś dziwna obawa.

Nie miał on jeszcze spełna lat dwudziestu. Słaby, zaledwie dojrzany zarost ocieniał mu brodę. Na licach widne były ślady długiego więzienia i nietajonéj zgryzoty. Oczy miał jakby z płaczu nabrzękłe.

— Pan nazywasz się Adolf Rol..... jesteś synem dziekana medycznego z Warszawy, byłeś oficerem 1go pułku strzelców konnych i wzięty w niewolę uciekłeś

z szeregu bataljonu maszerującego na Kaukaz!

— Tak jest, panie konsyljarzu, — odparł więzień drżącym głosem, a oczy jego wyrażały rozpacz.

— Więc poprostu jako zbiega, moglibyśmy pana wydać Rossji, a tam...

— Litości panie konsyljarzu! Moja matka umarłaby na samą wieść!..

— Otóż daję panu wybór, albo powrót do matki albo w ręce Rossji...

Więzień zachwiał się. Zbladł cały jak trup i powoli oparł się o ścianę.

Sędzia patrzył czas niejaki na niego. Potém uśmiechnął się słodko i rzekł:

— Pójdź pan bliżéj i siadaj. Nie myśl pan, abym chciał cię zgubić. Przeciwnie chcę nietylko panu, ale przez pana wszystkim innym pomódz. Jednéj tylko rzeczy żądam od pana — jak najobszerniejszego zeznania!

— Ja o niczém nie wiem — odparł więzień — bo jak pan konsyljarz sam się przekonał, że do galicyjskiego spisku wcale nie należałem. Miałem tylko mieć u-

dział w wyprawie Józefa Duckiego na Podole.

— Choć pan do spisku nie należałeś, ale mógłeś mimo to wiele wiedzieć. A nam teraz przedewszystkiém na tém zależy, abyśmy wiedzieli jak najwięcéj.. i to w waszym własnym interesie!

Więzień spojrzał zdziwiony na sędziego. Poznał to sędzia i rzekł po chwili:

— Widzę, że pan mnie nie rozumiesz, a ja liczyłem na to, że pan się więcéj domyślisz!.. Zapewne wiész pan, że cesarz umarł. Nowy następca zwykł rządy swoje inaugurować amnestją. Dzisiaj już wysłano rozkazy do Szpilberga, aby karbonarjuszów włoskich powypuszczać.

Więzień zadrżał na całém ciele, a twarz jego poczerwieniała. Uśmiechnął się sędzia i mówił daléj:

— Ale nie myśl pan, żeby równocześnie i o lwowskich więźniach w Wiedniu pamiętano. Najprzód z liczby uwięzionych okazuje się, że są uparci, niepoprawni, że się do winy nie przyznają. Powtóre jest ich prócz emigrantów tak mała garstka,

że i uwagi na nią zwracać nie można. Każda amnestja ma sprawić pewne wrażenie. Jeżeli się wiele daruje, to można na większą wdzięczność liczyć. Zresztą jeżeli kraj który wielkiéj liczby więźniów dostarczy, to jest oznaką, że w tym kraju surowość prawa nic nie pomoże. Trzeba środków łagodniejszych.... Otóż jeśli zeznanie pana powiększy w sposób uderzający liczbę uwięzionych, to będzie to niezawodnym znakiem dla Wiednia, że amnestja jest potrzebna.

— Ależ panie konsyljarzu, ja nie wiem o niczém! — zawołał ze łzami więzień.

— Pan mnie jeszcze nie rozumiész — mówił daléj sędzia — pan możesz wiele wiedzieć, albo nic nie wiedzieć, ja w to teraz bliżej nie wchodzę. To już rzecz pana obliczyć się z sobą... Ja żądam tylko od pana zeznania, obszernego zeznania, planów kampanji, składów broni.... jestem przekonany, że pan o tém wszystkiém wiedzieć będziesz, jeśli zechcesz.... przysłużysz się pan sobie i swoim rodakom!

8

Więzień drżał cały jak liść osiki. Oczy jego płonęły ogniem gorączkowym. Błyskały w nich iskry roskosznéj nadziei i gasły zarazem pod chmurą jakiegoś dziwnego przestrachu...

Sędzia z uwagą patrzył na więźnia. Uśmiech gryzącéj ironji wił się w koło jego ust zaciśniętych.

— A więc idź pan teraz do kaźni — ozwał się w końcu powstając z krzesła — i myśl o tém przez noc całą, co jutro nam opowiadać będziesz. Wiem, że wiész wiele, bardzo wiele. Im więcéj, tém lepiéj!

Rzekłszy to, podał więźniowi rękę i obrócił się szybko, aby ukryć przed nim uśmiech trymfujący.

V.

Nazajutrz przed południem siedział jenerał L*** w swoim gabinecie przed stolikiem, na którym zastawione było wyborne śniadanie. Przyjemna, korzenna woń unosiła się z porcelanowych półmisków, a widok omszałych i kunsztownie zatkanych flaszek podrażniał mile podniebienie siedzących.

Jenerał był to człowiek już sporo zżyty. Wypiekłe plamy na jego twarzy okazywały, że świata i życia dosyć dobrze umiał używać. Sztywny kołnierz munduru podtrzymywał do góry chylącą się upornie głowę. Złoty haft kołnierza harmonjował dosyć dobrze z pstrokatą cerą twarzy. W oczach tylko dziwny był wyraz. Malo-

wało się w nich jakieś ustawiczne, mimowolne zamyślenie.

Ci, którzy jenerała od lat dwudziestu kilku znali, opowiadali, że to dziwne zamyślenie, graniczące często z bezprzytomnością umysłu, datowało się od pamiętnéj bitwy pod Lipskiem, w któréj jenerał wybitną odegrał rolę. Był on w świcie Napoleona i rozporządzał trzydziestoma tysiącami sasów. Podczas bitwy, w chwili najbardziéj stanowczéj, stało się w saskim korpusie jakieś dziwne zamięszanie. Czy jenerał nie zrozumiał rozkazu Napoleona, czyli nie umiał go wykonać, dosyć, że trzydzieści tysięcy sasów wraz z jenerałem znalazło się nagle po stronie sprzymierzonych i już tam po koniec bitwy zostali. Tak opowiadali przyjaciele jenerała, inni inaczéj tę rzecz formułowali. Ztąd téż poszło, że biedny jenerał miał wiele przyjaciół, a więcéj jeszcze nieprzyjaciół.

Najprzyjaźniejszym okazał się względem niego wszechmocny minister cesarza austrjackiego. Ponieważ po téj bitwie pamiętnéj w ojczyznie swojéj nie miał jene-

rał należytego uznania i spokoju, wziął go minister w służbę cesarza i mianował go głównodowodzącym w królestwie Galicji i Lodomerji.

W Galicji panował wtedy pokój głęboki, ale biednemu jenerałowi inaczéj się wydawało. Z pobojowiska pod Lipskiem przywiózł on w piersi swojéj pewien niepokój, który go ani na chwilę nie opuszczał. Nie miał ani jednéj godziny spokojnéj. Chwytał za wszystkie rozrywki życia, ale chwytał napróżno.

Powodem tego jego wewnętrznego niepokoju było, że i wokoło siebie widział nieustający niepokój, którym się wielce martwił. Zdawało mu się, że otoczony jest ludźmi, którzy mają przy sobie sztylety i trucizny, że każda stopa ziemi, po któréj stąpał, jest podminowana i lada chwila w powietrze wyleci.

Straszne obrazy wojny, które był wtedy pod Lipskiem na własne oczy widział, wpiły się głęboko w jego umysł i wychodziły ztamtąd za każdą żywszą pulsacją krwi w jaskrawych kolorach. Wspomnienia

te przybierały cechę rzeczywistości, tak żywo stawały mu przed oczy. Co wyniósł z pod Lipska, to przesadził teraz do Galicji. Zdawało mu się, że to wszystko w Galicji widzi, że to otacza go do koła, że coraz więcéj oskrzydla jego posterunek straszna jakaś falanga złożona z samych bagnetów, syczących armat, grożących nożów i sztyletów! Wszystko to widział wyraźnie i gniewał się, jeśli ktoś twierdził, że to przywidzenie tylko!

W téj chwili siedział jenerał w dobraném towarzystwie najlepszych swoich znajomych. Towarzystwo to składało się z dwoch pułkowników, jednego adjutanta, audytora, intendenta potrzeb wojennych i dwóch komisarzy od prowjantu. Były tam jeszcze dwie figury, których bliżéj nikt nie umiał określić.

— A ja wam powiadam, moi panowie, — mówił jenerał, — że minister bardzo źle wyjdzie na swojéj oszczędności. Pisze mi, że prezydent z jednéj strony a dyrektor policji z drugiéj strony są dostateczną strażą j. c. w. arcyksięcia. Śmiać

się z takiéj straży! Prezydent chudy i długi, może być rozumnym człowiekiem, ale fachu tego dobrze nie rozumié. A co się tyczy dyrektora policji, to w dziejach świata jest rzeczą niesłyszaną, aby dyrektor policji był... z jeduém okiem! Cóż jedno oko obaczy tam, gdzie trzeba być argusem!...

Intendent potrzeb wojennych zaśmiał się głośno, obaj pułkownicy uznali także dowcip za wyborny.

— Mówię wam, — prawił daléj jenerał, — że niebezpieczeństwo jest większe, niżeli minister z relacji jednookiego dyrektora policji i długiego prezydenta wnosić może. Gdybym nie ja — nie mówię tego z próżności — gdyby nie moje raporty, które w większéj części z własnéj kieszeni opłacam (minister z „tajnego funduszu“ daje mi bagatelę), to w Wiedniu nie wiedzieliby nic jak w rogu. A jeśli który raport efekt sprawi, to wściekają się obaj wartownicy arcyksięcia i korony habsburgskiéj, żem ich uprzedził! Nie uwierzycie, jak ich to irytuje. Kopią dołki

podemną, ale napróżno. Konkurencja jest wolna. Na ostatni mój list odpowiedział mi minister, że spodziewa się „tajny fundusz“ podnieść do większéj cyfry, a wtedy ja im pokażę, co umiem!... Pamiętam, będzie temu lat przeszło dwadzieścia, gdyśmy na polach pod Lipskiem stali w szyku.....

Przyjaciele jenerała podnieśli tutaj wszyscy głosy swe do możliwéj wysokości, aby mówiącemu przerwać fatalny temat, na który był zeszedł. Temat ten bowiem kończył się zawsze jakimś ekscesem, który ubliżał powadze wysokiego stanowiska, jakie jenerał w kraju zajmował.

Odszedłszy więc od Lipska, wrócił jenerał do Galicji, ale wrócił z wszelkiemi przyborami wojny. Widział przed sobą maszerujące pułki powstańców polskich, migające czapki ułańskie, błyszczące groty z chorągiewkami; w pewnych odstępach, jakby drogowskazy przechodu, czerniły się długie słupy szubienic, na których kołysał wiatr chude postacie wisielców, strasznie podobnych do rasy teutońskiéj...

Wszystko to widział w duchu i opowiadał o tém znajomym swoim były saski jenerał. Twierdził, że ma jak najlepsze donosy od swoich tajnych ajentów, i że to wszystko gotuje się w skrytości, aby lada chwila wybuchnąć. Ani dyrektor, ani prezydent jeszcze o tém nic nie wiedzą, ale wściekną się ze złości, gdy on o tém wiadomość do Wiednia prześle.

Przyjaciele jenerała zdawali się podzielać radość jego z przyszłych plonów, a tymczasem wzięli się do talerzy i butelek, które dotąd melancholijnie na nich patrzały.

Jenerał pierwszy wychylił szklankę na cześć urządzonéj przez siebie samego tajnéj policji, która z policją jednookiego dyrektora i chudego prezydenta godnie rywalizuje... przyjaciele jenerała napełnili także szklanki swoje, aby w uznaniu tak pożytecznéj dla kraju i państwa instytucji, przyłączyć się do toastu gospodarza, a tymczasem przez plac halicki, najkrótszą drogą, zbliżał się do nich człowiek, który radość jenerała i jego przyjaciół

miał zamienić w srogie, bolesne rozczarowanie!...

Za kilka chwil otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł człowiek nizkiego wzrostu i twarzy ospowatéj. Mimo lat czterdziestu kilku, miał na głowie gęste i zupełnie czarne włosy. Oczy duże, czarne, patrzały z pod szerokich brwi z pewną przenikliwością, która na ludziach spokojnych jakieś niemiłe sprawia wrażenie. I cały wyraz twarzy przypominał żołnierza postawionego na straconéj pikiecie. Szelest trawki, powiew wiatru, upadający suchy liść, skakanie polnego konika, wszystko to niepokoi go i niepokój ten odbija się na twarzy. Oko jego wysila się, aby widzieć jak najdaléj, ucho łowi najtajniejsze tony natury, aby zawczasu przestrzedz obóz rozłożony...

Cały ten niepokój wyciśnięty był na twarzy nowo przybyłego gościa. Zdaje się jednak, że ten niepokój stał się już drugą jego naturą, bo nie wpływał szkodliwie na jego zdrowie. Był dosyć dobréj tuszy, z czego wnosić wypadało, że darów bożych

używał należycie i w nocy spał dosyć spokojnie. Na wypukłéj jego piersi u piątego guzika kamizelki wisiało duże w złoto oprawne rajskie jabłko, w towarzystwie dwu kluczyków nader misternéj roboty. Od téj niewidzialnéj dewizy życia wił się gruby, złoty łańcuch, który tonął w bocznéj kieszeni. Łańcuch ten nie był utworem artystycznym, reprezentował tylko pewną wagę złota. Zdaje się, że to była prawdziwa dewiza...

Jenerał przywitał gościa lekkiém skinieniem głowy, wskazał ręką na krzesło, ale kieliszka ani talerza nie kazał dla niego podać. Zdawało się, że z nim jadać nie zwykł...

— *Zum Guckguck!* — ozwał się jenerał — pan masz dzisiaj strasznie ciekawą minę, panie Skałobrodzki!

— Ekscelencja (tak nazywano czasem jenerała) — odparł zapytany — masz, jak zawsze, wzrok sokoli!

— *No, heraus damit! heraus damit!... Lauter gute Freunde...* — mówił daléj jenerał.

Przybyły gość spojrzał z uwagą po gościach. Uśmiechnął się i rzekł:

— Idąc tutaj, zasłyszałem po drodze tyle nowin, że mi ciężko było z niemi dostać się na pierwsze piętro!

Jenerał spojrzał ukośnie na mówiącego i uśmiechnął się uśmiechem nie dla każdego zrozumiałym.

— Mów pan otwarcie—rzekł po chwili— *Lauter gute Freunde! Heraus mit der Sache!*

— Rzeczy niesłychane obiegają po mieście, — mówił przybyły — nikt nawet nie pomyślał, w jakiém niebezpieczeństwie byliśmy! Słowem, wulkan palił się pod nami i gotował dla nas lawę wtedy, gdyśmy spali najspokojniéj!

— Czyż ja tego codziennie nie mówię? — krzyknął jenerał i uderzył w stół pięścią, aż szklanki zabrzęczały. — Czyż ja codziennie o tém do Wiednia nie piszę? Ale cóż z tego?... Jednooki dyrektor policji i długi chudy prezydent z prostéj konkurencji krzyżują moje raporty i kopią dołki podemną!... Ale ja przecież dowiem się o wszystkiém, i to prędzéj od nich!...

— Już wiedzą o wszystkiém!... Teraz właśnie idą tutaj śpiesznie...

— Co pan mówisz! — krzyknął jenerał, — to nie może być, aby oni prędzéj odemnie wiedzieli! Toby było haniebnie...

— *Geduld, Geduld, Herr Feldmarschallieutenant!* — ozwał się komisarz wojenny w złotych okularach, — wprzódy trzeba wysłuchać, co pan Skałobrodzki powié, a potém osądzimy jak i o ile...

— *Hohl sie der T.....* — mruknął jenerał, — gadaj pan, ale powiadam, żem o tém prędzéj wiedział...

— W sądzie, — mówił z ironicznym uśmiechem przybyły gość, — wykryto w skutek zręcznéj indagacji nadzwyczajne rzeczy! Związek tajny, zwany „zemstą ludu,“ o którym bajano, że był tylko projektem niedoszłym, istniał rzeczywiście i dotąd istnieje i krzewi się coraz więcéj...

— A co nie mówiłem? — krzyczał jenerał, — mówiłem, że coś nas strasznego otacza, o czém się ani śniło naszym filozofom: Sacherowi i Kriegowi! A oni piszą do ministra, że ja mam złych ajentów...

Tu spojrzał jenerał na przybyłego gościa i uśmiechnął się złośliwie. Gość mówił daléj:

— Udało się podejść młodego więźnia niejakiego Adolfa Rol.... *) który wyprosiwszy sobie od sądu pseudonim „Bolesław Gurowski“ poczynił nader obszerne zeznania. Nieprawdą więc jest, co mówią „partyzanci,“ że tylko przeciw Rossji chcieli wojować. Bunt był i przeciw Austrji skierowany. Ów młody więzień, przedłożył sądowi trzy plany powstania i kampanji. Jeden obrał sobie za punkt działania — morze, a dwa inne trzymały się lądu. Wzdłuż Wisły i suchéj granicy wschodniéj są ogromne składy broni. Dzisiaj rano wyjechała już komisja sądowa do wsi Modzelewskiego, aby zakopaną tam przez Dwernickiego broń wykopać...

— *Unerhört! Unerhört!* — zawtórzyli poważnie wszyscy przyjaciele jenerała.

---

*) Karol Borkowski: Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiéj do Polski — List Dmochowskiego do Lelewela. — Spowiedź przed śmiercią Adolfa Rol..... w Kufsztajnie.

Jenerał poczerwieniał cały na twarzy. Spojrzał z wyrazem wyrzutu na mówiącego. Zdawało się chwilę, że miał ochotę zaprzeczyć temu, co mówił gość nowoprzybyły, zaprzeczyć z prostéj zazdrości, że on nic o tém nie wiedział. Spostrzegł to mówiący, uśmiechnął się z ironją i rzekł:

— Wszystko jest prawdą, popołudniu wyjeżdżają na wszystkie strony świata komisje, aby dwory przetrząść i spiskowych aresztować. Zdaje się, że liczba ich jest nader wielka!

Jeszcze chwilę wahał się jenerał, co ma dla uratowania swego honoru uczynić. Wreszcie postanowił przyjąć czyn dokonany. Uśmiechając się z wymuszoną radością ozwał się:

— Nic dla mnie nowego! Wszystko wiedziałem i dawno o tém do Wiednia donosiłem! Nie rozwodziłem się wprawdzie w szczegóły, bo to do mnie nie należy!

Kiedy tych słów domawiał i ręką po kieliszek sięgał, wszedł do pokoju komisarz rządowy i przyniósł mu jakieś pismo

opieczętowane. Jenerał z gorączkową niecierpliwością pochwycił pismo.

Zaledwie kilka słów przeczytał, poczerwieniał znowu na twarzy i z nietajoną złością zakąsił usta.

— Czy co służbowego? — zapytał po chwili adjutant i spojrzał ukośnie na pułkowników.

— Służba, służba, — krzyknął jenerał, — co tam pan pleciesz o służbie! Żołnierz jest zawsze w służbie. Kto w tym kraju mundur nosi, ten dniem i nocą musi być na posterunku śród nieprzyjaciela! Dawno mówiłem i zawsze mówię to samo! Nie chcą mi wierzyć i twierdzą, że mam halucynacje...

Rzekłszy to rzucił pismo na stół i tupnął nogą, że kieliszki i talerze zabrzęczały. Adjutant podjął pismo i czytał: „Dzisiaj nastąpi pogrzeb więźnia. Spiskowi i patrjoci uradzili wykopać w nocy ciało z grobu, by tym sposobem działać na ciemne masy, a o nieboszczyku rozszerzyć najpotworniejsze wiadomości. Policja wzywa współdziałania wojska do nowéj

wyprawy, a przedewszystkiem straży na grobie, aby wszelkim możliwym wypadkom zapobiedz..."

W najwyższém zadziwieniu spojrzeli po sobie. Na twarzy jenerała malowało się rozżalenie. Czuł wyraźnie, że był pobity od swoich adwersarzy. Wiedzieli więcéj od niego.

Zerwał się szybko, skinął na Skałobrodzkiego i wszedł z nim do przyległego gabinetu.

— Cóż to jest, — rzekł przytłumionym głosem, w którym drżały wszystkie namiętności, — cóż to jest! O niczém nie wiedziałem! Jak to się dzieje! Wstyd mi na ludzi patrzéć!

Skałobrodzki uśmiechnął się boleśnie, przechylił głowę na lewe ramię i odparł:

— Widać, że dyrektor i prezydent więcéj pieniędzy wydają!

— Pieniędzy, pieniędzy... przecież nie żałuję pieniędzy! Jeszcze i tak pisze minister, że moje raporty wiele kosztują! Ale teraz, zważ pan, jest tu punkt honoru, tak dla mnie jak i dla pana, żeby

się z czémś popisać! Toż on z jedném okiem ma więcéj widzieć odemnie?..

Tu zbliżył się szybko do biurka, wysunął szufladę i wyjął rulon złota.

— Masz pan tymczasem, — rzekł do ajenta, — ale powiadam oraz, jeśli w krótkim czasie nie będę miał coś tak smacznego, jak omszała flaszka węgrzyna, to.... już pan więcéj nie przychodź do mnie!

Ajent skłonił się ze słodkim uśmiechem, a jenerał z dobrą miną wyszedł do swoich przyjaciół.

VI.

Na drugi dzień dziwne wieści obiegały pomiędzy mieszkańcami miasta. Nie chciano wierzyć opowiadającym, ale gdy liczba tych, co na własne oczy widzieli, z każdą chwilą zwiększać się zaczęła, uwierzono w końcu. Uwierzono nawet rzeczom nieprawdopodobnym, jak się to dzieje zazwyczaj przy każdém, żywiéj rozbudzoném uczuciu, gdzie wiara nie ma już żadnych granic.

Przypomnieć tutaj wypada, że w owym czasie uczucie patrjotyzmu ograniczało się stosunkowo na małéj części społeczeństwa. Wprawdzie powstanie listopadowe, od którego zaledwie cztery lata minęły, przypomniało mieszkańcom kraju, że po tamtéj

stronie Wisły mieszkają bracia rodzeni, którym wypadało iść w pomoc, kiedy walkę podnieśli. Powstanie to jednak nie zajęło wszystkich serc. Dwory tylko wysłały na pole walki swoich delegatów, tylko młodzież ucząca się przyłączyła się w małéj liczbie. Ciemniejsze warstwy pozostały w dziwnéj nieświadomości tego świętego uczucia, które tamtych rwało do boju. Uważano walczących za Wisłą za ludzi odrębnego jakiegoś rodu, nazywając ich— polakami! Tak nazywali rodzeni bracia, swoich rodzonych, lecz nieznajomych braci!.. Potrzeba było dziwnych, nadzwyczajnych wypadków, aby się wzajem poznali i dłoń do uścisku podali...

Mianowicie prosty lud miejski żył sobie w prostocie ewangielicznéj. System ówczesnego rządu zacierał starannie wszelkie ślady Polski, przysposabiając ziemię do kultury niemieckiéj. Na starożytnych budowach, których nie można było ze względów utylitarnych rozwalić, poodtrącano głowy orłom polskim, aby młoda, dorastająca generacja nie miała na co

patrzyć i starszych ciekawie się pytać. Zamazano napisy na grobowcach, a pomnik bohatera lwowskiego ze złoconym płaszczem, hetmana Jabłonowskiego, walał się w rynsztoku na dziedzińcu policji, do którego ciekawym był wstęp wzbroniony.

Otóż ten lud miejski i sławetni przedmieszczanie mieli dzisiaj najwięcéj kłopotu, aby wszystkie te dziwne wieści, które po całém przedmieściu obiegały, w swoich głowach pomieścić i uporządkować.

A wieści te były tak nadzwyczajne, dawały tyle do myślenia, prowadziły do tak dziwnych rezultatów!..

Już sama śmierć więźnia w kryminale karmelickim rozgorączkowała wyobraźnię mieszkańców. Z pogrzebaniem trupa możeby się uspokojono, możeby w części nawet zapomniano o człowieku, którego prawie nikt nie znał. Byłaby to jedna z tysiąca nieznanych ofiar, w które dzieje ludzkości obfitują. Byłby to jeden zbłąkany jęk w chórze miljonów, które płaczą i jęczą...

Nieznany jednak nieboszczyk miał inną ważniejszą rolę...

Mieszkańcy miasta widzieli, że tylną bramą więzienia o niezwykłéj godzinie wyniesiono trumnę, starannie czarném suknem okrytą i krętemi uliczkami wywieziono w sposób nader tajemniczy. Przytém straż policyjna odpędzała ciekawych, a upartych nawet aresztowała. I powstały ztąd dziwne nieporozumienia, które ludzi najprościejszych prowadziły do dziwnych rezultatów....

I tak zaraz na skręcie ulicy Piekarskiéj zawadził tajemniczy kondukt o karetę czterokonną, w któréj do stolicy jechał szczęśliwy śmiertelnik, aby roskoszy światowych w pełni używać. Ojciec jego zapomniał już dawno o tradycjach polskich, a syn nigdy o nich nie wiedział. Mimo majątku i tytułu stał prawie na równi z ciemnym gminem, który braci swoich „polakami“ nazywał..

Buta szczęśliwego śmiertelnika, jak śmie się odważyć jakiś tam nieboszczyk o karetę jego zawadzać, wzbudziła podejrze-

nie straży policyjnéj, która mniemała, że szeroko opakowana kareta miała uwieźć z pośród nich niebezpiecznego nieboszczyka. Rzucono się na karetę, i przy nieuchronném zbiegowisku gapiącego się gminu, zawieziono ją z tajemniczym śmiertelnikiem wprost do aresztu... Za dwa tygodnie wypuszczono bogacza i oddano mu karetę, ale bogacz przez ten czas stał się jakoś innym człowiekiem. Prawdopodobnie był zmuszony przez ten czas wiele myśleć, do czego pierwéj nie miał sposobności, albo może miał towarzysza, z którym wiele rozmawiał; dosyć, że dostawszy się do swojéj karety, zrezygnował z uciech stołecznych, przeznaczone na nie tysiąc dukatów dał na jakieś niewyraźne dobroczynne cele, a sam na wieś wrócił, aby jak najprędzéj szukać emigranta, któremu przed odjazdem przytułku odmówił, i w dom swój go zaprosić...

Drugą niefortunną ofiarą był kapitan pensjonowany, niemiec z rodu i życia. O szaréj godzinie drzemał sobie w pokoiku swoim, gdy nagle usłyszał hałas na

ulicy. Przystąpił do okna, otworzył lufcik, i do zgromadzonych wystawił łysą głowę. Zimny, marcowy wiatr musnął mu niemile po łysinie i przypomniał mu, że nie ma na głowie peruki, którą zdjął dla drzemki. Cofnął się więc, włożył perukę i znowu wyjrzał, bo zbiegowisko ludu i policjantów wydało mu się nader ciekawe.... Na nieszczęście obserwował go jakiś ajent policyjny. Przed chwilą widział głowę łysą, a potém tę samą głowę w peruce. Nie namyślając się wcale, wpada do pokoiku emeryta i mimo solennego oporu porywa go do kozy.

Za kilka godzin, czerwony jak rak siedział kapitan „pod białym łabędziem“ z poturbowaną peruką, z oczami krwią nabiegłemi, a klnąc co się zmieści, żywym i umarłym, opowiadał licznie zgromadzonym, bez najmniejszéj ogródki, że takie rządy djabła warte, że kraj słusznie spiskuje, bo na innéj drodze nie może się dostać do ucha cesarza, aby mu swoją skargę wypowiedzieć!..

Tysiąc podobnych awantur musiał przebyć nieznajomy nieboszczyk w dalekim swoim pochodzie na cmentarz łyczakowski. Widoma i niewidoma straż policyjna rozwinęła niezwykłą energję. Zawracano chłopów z ciężarem jadących, bito konie i ludzi, winnych i niewinnych, aresztowano ciekawych i zamykano okienice, gdy w oknach okazały się twarze patrzących...

Nieznajomy nieboszczyk odbywał pochód prawdziwie tryumfalny. Jak ognisty kometa biegł wspaniale przez ciemne przestrzenie, zostawiając za sobą jasne iskry światła...

Wytryskiwały za nim dziwne pytania, jak drogocenne brylanty, a głuchym gwarem rozchodziły się jeszcze dziwniejsze odpowiedzi, jakich może przedmieście łyczakowskie nigdy nie słyszało!...

Mówiono o polakach, o więźniach, o spiskach, o Polsce...

Nieznajomy więzień może przez całe życie tyle dla sprawy swojéj nie uczynił, ile po śmierci zrobił....

Rola jednak jego nie była jeszcze skoń-

czoną. Do większych celów wybrała go opatrzność i policja. Szkoda tylko, że za to wszystko nie mógł już przed sądem stanąć!..

Trumnę spuszczono do grobu, zasypano ziemią i ubito ją gładko, aby żadnéj mogiły nie było.... A na czarnym płacie, który dziwnie odbijał od marcowego śniegu, postawiono żołnierza z bronią...

Dziwnie, nader dziwnie wydawał się ten żołnierz chodzący z bronią śród przybytku umarłych... Chmury marcowe przebiegały szybko po nocném niebie, a z poza nich wychylał się często ciekawy księżyc i dziwném światłem oblewał cmentarz łyczakowski... Białe krzyże i wysmukłe topole stały milczące i nieruchome na roli umarłych, tylko tam, na czarnym płacie ziemi śród białego śniegu błyszczał bagnet i w odmierzonéj linji przesuwał się wprzód i napowrót... Był to jedyny, dziwny, tajemniczy ruch w wiecznym przybytku umarłych!.. A co dwie godziny, rota żołnierzy zbliżała się cicho śród nocy do bramy cmentarza. Głucho skrzypiał wtedy klucz

w zardzewiałym zamku, skrzypiały wrzeciądze bramy. Rota żołnierzy szła długim szpalerem gdzieś aż poza wzgórze i przypominała mimowoli pamiętną scenę w ogrójcu... A krzyże i drzewa cmentarne pytały przechodzących tajemniczym szeptem: kogo szukacie?..

W szynku tuż przy rogatce łyczakowskiéj „pod zajączkiem“ było dzisiaj liczne, wyjątkowe zgromadzenie. Przeważną część zgromadzenia stanowili krupiarze z Łyczakowskiego przedmieścia. Byli to ludzie prości i nadzwyczaj pracowici. Tylko nadzwyczajne jakieś zdarzenie mogło ich oderwać od wiecznie kręcących się młynków.

— Nie wierzyłem własnym oczom! — ozwał się najstarszy z krupiarzy w siwéj kapocie z czapką baranią na głowie — nie wierzyłem własnemu synowi, gdy mi tak dziwne rzeczy opowiadał. Otóż prosto idę ztamtąd..

— I cóż, i cóż? — zapytano chórem krupiarza, — czy to prawda, że nad grobem wisi w powietrzu anioł z zielonym

wieńcem? Szymon powiada, że widział na własne oczy...

— Anioła z wieńcem nie widziałem, — odparł smutno krupiarz, — bo aniołów widzą tylko ludzie bez grzechów, jak powiada ksiądz proboszcz od św. Antoniego. Ale żołnierza z karabinem na cmentarzu widziałem, a na końcu bagnetu tak się coś błyszczy, jak światełko błędne, raz żółtawe, a drugi raz czerwonawe...

— Hm, — wtrącił kamieniarz przedmiejski, — gdy wczoraj w nocy nasiekiwałem kamień panu Michałowi, widziałem wyraźnie, jakby nad cmentarzem otworzyło się niebo i anioł z ognistym mieczem na ziemię zstąpił...

— Że żydzi na grobie Chrystusa straż postawili, — wtrącił szynkarz, — to mnie nie dziwi, bo wiedzieli z pism swoich, że Chrystus miał trzeciego dnia zmartwychwstać...

— Powiadają, — ozwał się ktoś z kąta, — że polacy także umieją zmartwychwstawać...

— Oszalałeś! — krzyknął krupiarz, —

człowiek zmartwychwstanie, ale aż na sądny dzień...

— Toby djabelnie długo trzeba czekać! — odparł wynędzniały włóczęga, — tymczasem ja wam powiadam, że polacy umieją prędzéj zmartwychwstawać... Pod Ostrołęką wybili moskale całą rotę. Widziano ich, jak wszyscy leżeli na grobli do góry brzuchami, a twarze mieli tak białe jak papier. Wrzucono ich w dół i przysypano ziemią. Na drugi dzień stawili się wszyscy do pułku o zdrowych, czerwonych twarzach. Całe wojsko widziało ich i nazwało „rotą nieśmiertelną.“

Głębokie milczenie zapanowało między krupiarzami. Polska „nieśmiertelna rota“ nie mogła się im w głowie pomieścić. Miała ona dla nich jakiś urok niezwykły. Nieśmiertelność, to myśl wielka i przenikająca!..

Na ławie pod piecem siedział szpakowaty człowiek o dużych, obwisłych wąsach. Miał na sobie kurtę ciemnogranatową. Na rękawie widać było kilka cie-

mniejszych, ukośnych pasów. Pasy te miały widocznie kształty odprutych szewronów.

Nieznajomy słuchał zamyślony opowiadań krupiarzy. Często musnął po wąsach, jakby coś chciał powiedzieć, ale wnet machnął ręką na znak rezygnacji. Zdaje się, że tym znakiem sam siebie skazywał na milczenie.

Kiedy jednak o polskiéj „nieśmiertelnéj rocie“ wspomniano, poczerwieniał na twarzy i zawołał:

— Co ty tam pleciesz o nieśmiertelnéj rocie! Czyś ty tam był czy co? Lepiéj słuchaj tych, co tam byli!

— Przecie tam nie byłeś człowieku! — ozwał się przestraszony szynkarz, który już w duchu widział szynk swój otoczony przez policjantów i za przechowywanie takiego zbrodniarza na siedem pieczęci zapieczętowany, — przecież tam nie byłeś! Zlituj się, co mówisz! Żartować z takiemi rzeczami nie można dzisiaj!..

Nieznajomy patrzał chwilę w milczeniu na szynkarza. Zdawało się, że coś ważył w myśli. Ale „nieśmiertelna rota“ zawiele

miała w téj chwili uroku dla niego. Stanęła mu żywo przed oczyma i cały świat przed nim zakryła!

— Jak to nie byłem! — krzyknął głosem sierżanta, — kto to mówi, że ja tam nie byłem!...

— Zlituj się człowieku, — wołał żałośnie szynkarz, — przystąpiło do ciebie i nie wiesz co bredzisz! Spałeś może w szynku pod ławą, a powiadasz, że byłeś pod Ostrołęką!... brrr! Zlituj się, nie strasz ludzi!.. Gotów kto usłyszeć...

— Niech słucha, nic się nie boję! — wołał w zapale nieznajomy, który już na kieł wziął, — gdybyś ty tam był, gdzie ja byłem, tobyś także nie siedział spokojnie pod piecem, gdyby o „nieśmiertelnéj rocie“ mówiono!.. Czy ty wiesz, głupi tchórzu, że do téj nieśmiertelnéj roty także i ja należałem?..

Grobowe milczenie zapanowało w szynku. Dwieście głów zwróciło się do mówiącego. Szynkarz posiniał.

— Zwarjował! Zwarjował! — krzyknął łamiąc ręce, — co tu robić, co tu robić!

— Cicho tchórzu, i słuchaj! — wrzasnął nieznajomy. — Jestem jednym z téj roty nieśmiertelnéj. Byłem pod Ostrołęką i nabiłem moskali co niemiara. Ale nie myślcie, aby ta rota była w rzeczy saméj nieśmiertelną. Jak kulka przesunie się niżéj trzeciego żebra, to każdy człowiek padnie i więcéj się na nogi nie podniesie. To téż i rota owa na grobli padła cała i nie podniosła się ani na drugi, ani na trzeci dzień. Ale wiarusy, zachęcani tak chwalebną śmiercią moich towarzyszy, prosili przełożonych swoich, aby im wolno było wypełnić na nowo tę rotę. I tak szła ta rota zawsze na pierwszy ogień, a w miarę ubytku napełniała się zawsze ochotnikami, którzy po każdéj bitwie cisnęli się do niéj. Ztąd nazwano ją „rotą nieśmiertelną,“ a ja miałem także zaszczyt należyć do niéj!..

— Zgubiony człowiek! — krzyczał szynkarz, — gwałtu, i mnie przy sobie zgubił.

— Brat brata przecież nigdy nie gubi! — rzekł spokojnie nieznajomy, — przecież jestem między polakami!..

— Polakami... gwałtu, polakami nas nazywa! — wołał szynkarz w rozpaczy...

— A czemże wy jesteście? — zapytał zdziwiony nieznajomy, — niemcami, czy moskalami?

— Z przeproszeniem, — ozwał się stary krupiarz, — ani tém ani owém nie jesteśmy...

— Czémże więc do krocset.... jesteście? — wołał nieznajomy w największym gniewie.

— Już to zawsze... prędzéj... niby polacy, bo przecież człek po polsku mówi i po polsku wierzy, — mówiono półgłosem.

— Gwałtu, — lamentował szynkarz, — uwzięli się na mnie, aby mnie zgubić! Polacy u mnie, wszyscy polacy!..

— Słuchaj tchórzu, — rzekł spokojnie nieznajomy. — Mówiliście tutaj o nieboszczyku, którego tam zakopali. Żal mi, że zamiast niego, ja sam tam nie leżę!.. Lepiéj wleźć pod ziemię, niż tu być między wami!.. Głupia ta ziemia galicyjska! Zaledwie kordon przekroczyłem, uganiają za mną komisarze i landsdragoni wraz

z chłopami jak za dzikim zwierzem. Ze dworów pozbywają mnie się prędko, a sławetni mieszczanie w szynku „pod zającem“ odsuwają się od obcego im „polaka!..“ Wstyd i hańba wam! Nieprzyjaciele powaśnili nas, że brat wypiera się rodzonego brata!..

— Pozwólcie szanowny panie, — ozwał się najstarszy krupiarz, — my tam przecież tak źli ludziska nie jesteśmy...

— Otóż słuchajcie, — prawił dalej nieznajomy, — mówiłem wam, że zazdroszczę nieboszczykowi. Wolałbym być w ziemi, niżeli tutaj między wami! Do ziemi daleko, ale do opróżnionéj przez nieboszczy ka kazamaty niedaleko...

— Zgubiony człowiek! zgubiony człowiek! — krzyczał szynkarz ochrypłym głosem.

— Słuchajcie, — mówił daléj nieznajomy. — Widzę między wami wielu biednych, bardzo biednych! Za Chrystusa wziął Judasz trzydzieści srebrników, za mnie może choć kilka dadzą!.. Kto ma ochotę, niech idzie po policjanta!

Rzekłszy to wstał z ławy i postąpił naprzód izby. Szedł śmiało i spokojnie, jakby szedł wprost na redutę...

W szynku nastała cisza grobowa. Słychać było głośno bijące serca... Czekano z trwogą na ochotnika...

Ochotnika jednak nie było w tym biednym tłumie. Między zgłodniałym i obdartym gminem, między żebrakami i włóczęgami nie było ani jednego, któryby poważył się wyciągnąć rękę po srebrnik obiecany...

— Chodźcie do mnie, — ozwał się do nieznajomego stary krupiarz, — ogrzejecie się i zjecie kaszy ze słoniną...

— Po drodze wstąpimy do mnie, — rzekł drugi, — zabiłem wczoraj wieprza...

— Nie bójcie się, między nami włos wam z głowy nie spadnie! — wołali inni...

A w szynku między gminem w łachmany odzianym nie było ani jednego, który o tém wszystkiém chciał donieść policji... Nawet szynkarz nabrał odwagi i nieznajomemu podał kufel piwa.

— Pijcie, my wszyscy tak jak wy, je-

steśmy polakami! — szepnął mu ostrożnie do ucha.

A po niebie płynął rozkosznie w téj chwili księżyc biały. Śmiał się ze straży, postawionéj na grobie nieboszczyka, uśmiechał się na widok biednego gminu w szynku „pod zającem,“ który srebrnika nie chciał zarobić, i dziwnie spoglądał na trzech najwyższych dygnitarzy kraju, którzy w téj chwili układali śpiesznie raport do Wiednia.

W raporcie tym między innemi czytał ciekawy księżyc, „że tylko nadzwyczajnéj czynności władz cywilnych i wojska energicznemu współdziałaniu w Galicji winien cesarz zachowanie spokojności w téj prowincji...“

Śmiał się księżyc z tego raportu i pospieszył czémprędzéj oświecić pełném światłem piękną twarz kobiety, która w téj chwili zbliżyła się do okna.

VII.

Okno to wychodziło na ulicę poprzeczną, która Halicką łączy z Pańską. Przed tém oknem czernił się wysoki parkan, najeżony kolcami, który otaczał dziedziniec więzienia. W głębi dziedzińca widać było samo więzienie. Był to gmach niekształtny, dawniéj ku chwale bożéj pobożną ręką wzniesiony. Zdawało się, że budowniczy myślał tylko o trwałości swego dzieła. Nie żałował więc kamienia i cegły, o resztę nie dbał. Budowa odznaczała się tylko grubością murów i trwałością sklepień, wśród których rozlegały się pacierze karmelitów. Przyparty do ulicy Halickiéj kościół miał w sobie coś ze stylu odrodzenia. W ogóle była to budo-

wa ciężka i niezgrabna, i zakrawała więcéj na obronną redutę. To też skorzystali z tego w swoim czasie konfederaci barscy, którzy z téj strony atakowali Lwów, broniony przez adherenta królewskiego jenerała Korytowskiego. Kościół wraz z klasztorem spłonął wtedy wśród walki gorącéj, i dotąd jeszcze stoi pustką. W pozostałych murach klasztornych, które ogniową próbę wytrzymały, założył rząd austrjacki więzienie.

Na te mury więzienne patrzyła w téj chwili przez okno młoda kobieta. Po lewéj stronie czerniły się ciężkie mury spalonego kościoła, z czarnemi od dymu wyłomami. Po prawéj wysuwała się po nad dachy ciemna wieżyca bernardyńska, z któréj właśnie ponury dzwon wybijał godzinę ósmą.

Młoda kobieta nie zważała na uderzenia zegaru, tylko smutna i nieruchoma patrzyła przed siebie. A przed nią, w głębi więziennego dziedzińca bielał się długi i wysoki pas muru, w którym czerniły się małe, grubą kratą obwarowane okienka.

Z okienek tych wydobywał się jakiś śpiew smutny i tęskny. Nie był on podobny do produkcji w salonie przy fortepianie, nie odezwał się na rozkaz ciotki lub matki, ale płynął z najgłębszych tajników serca, był potrzebą strapionéj duszy!..

Śpiew taki brzmi zupełnie inaczéj od zwykłéj piosenki. Nie ma on często ani szkoły ani rutyny, ale ma coś w sobie, czego mu pozazdrościć może niejeden z najznakomitszych artystów! W takim śpiewie jest cała dusza, są łzy i westchnienia, jest rozpacz i boleść najwyższa, bo człowiek, który taką pieśń z duszy wylewa, cierpi i czuje to wszystko!

Śpiew więźnia cichnął powoli, a ostatnia nuta zawiązała się dziwnie do głuchego gwaru miasta, który gdzieś z oddali do osamotnionéj uliczki przedmiejskiéj niewyraźnie zalatywał...

Młoda kobieta odeszła od okna i zamyślona postąpiła kilka kroków w głąb pokoju. Zapaliła świecę, którą niedawno zgasiła, aby światło nie zdradziło w oknie jéj postaci.

Z zaokrąglonych rysów twarzy widać było, że nie przeszła jeszcze lat dwudziestu. Sama twarz była blada i miała wyraz smutku. Nie był to jednak ów smutek, z doznanych w życiu zawodów, który ostrym rylcem wyżłabia zmarszczki, ale był to ów żal duszy i tęsknota, że wyśnione ideały jeszcze tak od nas daleko!.. Przeczuwamy je sercem i widzimy czasem okiem duszy, ale wkoło nas jeszcze pusto i ciemno!.. Oczy miała duże, niebieskie. W całym układzie twarzy oczy te miały widoczną przewagę. Zajmowały one pierwsze miejsce, a wszystko inne służyło tylko do ich uwydatnienia. Z jakiéjbądź strony było spojrzeć na tę twarz, spotykało się zawsze oczy, tylko oczy. Nie patrzały one na świat z ową przenikliwością, która mimowoli oziębia i ostudza, ale były przyćmione jakąś lekką gazą, na której łamały się i zastrzęgały błyski pięknych marzeń.

Całą postacią swoją należała do owych wątłych, nerwowych istot, które niby wiecznie chore i cierpiące, przewyższają w

rzeczywistości siłą życia najzdrowiéj rozwinięte organizmy. Ciemne włosy, krótko ostrzyżone odsłaniały piękny kształt głowy i nadawały jéj twarzy w żywszych chwilach coś męzkiego.

Dziwném było życie téj młodéj dziewicy. Matka opuściła ją wcześnie, poszła gdzieś w świat i tam bez wieści przepadła. Jedni opowiadali, że pod inném nazwiskiem wyszła gdzieś bardzo świetnie za mąż i że jest żoną jakiegoś gubernatora na wyspach Oceanu. Nowa jéj pozycja kazała jéj zerwać z całą swoją przeszłością i wyrzec się dziecka, które jako sierotę wziął sam Bóg w opiekę, tak jak bierze lilje i kwiatki polne, przyodziewając je w nadobne sukienki... Inni znowu twierdzili, że umarła na żółtą febrę w gorącéj strefie, a byli nawet i tacy, którzy z wszelkiemi szczegółami opowiadali o rozbiciu okrętu, na którym znajdowała się piękna rozwódka. Ludzie pospolici, którzy żadnych barw poetyczniejszych w życiu nie widzą, śmiali się z tych romantycznych przyborów, jakiemi wyposażono

piękną lecz wiarołomną kobietę, i byli tego zdania, żc owa wyspa oceanowa najdaléj na kilka mil ode Lwowa jest oddalona, a owym mistycznym gubernatorem jest rotmistrz od huzarów z długiemi do góry zakręconemi wąsami...

Trudno jednak temu dać wiary. Serce kobiece, mimo wszelkich swoich aberacji, ma na dnie jedno wielkie uczucie, z którego w żaden sposób wyzuć się nie może. Może je na czas jakiś zarzucić różnemi rupieciami, może je zagłuszyć na chwilę kunsztowną muzyką zepsutego świata, ale w końcu odezwie się, a odezwie się z tém większym urokiem, im większa wkoło niego zapanuje cisza! Jest to miłość matki.

Wprawdzie matka ta nie dobrała może sobie stosownego do życia towarzysza. Opowiadano wiele o jéj cierpieniach utajonych i głośnych. Szeptano sobie do uszu jakieś dziwne, tajemnicze rzeczy. Rozgrzeszano ją nawet i dawano jéj świadectwo istnéj męczennicy. Mimo to wszystko niepodobna uwierzyć, aby nieszczęśliwa matka nie zatęskniła nigdy za dzie-

cięciem, które własną piersią wykarmiła, a które w codziennéj modlitwie zasyłało za nią modły do Boga, ojca wszystkich sierot...

To też Anna wierzyła od najmłodszych lat swoich, że jéj matka nie żyje. Wiara ta, gdy dorosła, była tak silna, że każdego roku kazała w kościele OO. bernardynów odprawiać za jéj duszę żałobne nabożeństwo, przy którém jednak jéj ojciec nigdy nie chciał być obecnym. Czy ojciec nie wierzył w śmierć nieboszczki, czy miał do wstrzymywania się od nabożeństwa jakie inne powody, o tém trudno było wiedzieć. Przed córką wytłómaczył się zawsze swemi interesami, które mu właśnie w tym dniu nie pozwalały iść do kościoła. Córka wierzyła, bo wierzyła jeszcze całemu światu, a w kościele płakała i modliła się za siebie i za ojca.

Ojciec Anny był, jak się zdawało, człowiekiem dosyć zamożnym. Żył wygodnie i w domu nie żałował niczego. Córkę swoją przedewszystkiem kochał całém, prawdziwie ojcowskiém sercem. Nie mogło

to się wprawdzie pogodzić z tém, co opowiadały przyjaciółki mniemanéj nieboszczki, ale tak było w istocie. Według nich człowiek ten nie miał ani iskierki w sercu, był zimnym egoistą, a nawet dziwnych, przewrotnych zasad. Otaczała go zawsze tak zimna i dusząca atmosfera, że niepodobna było swobodnie w niéj odetchnąć. W spojrzeniach jego i w całéj twarzy malował się taki chłód, taka ironja i pogarda ludzi, jakby z nimi w wiecznéj stał wojnie i do końca życia nieubłaganym chciał pozostać nieprzyjacielem. Zdawało się, że szczęście cudze drażni go i gniewa, a najjaśniéj świeciły oczy jego, gdy rozmawiano o nieszczęściach i wypadkach najsmutniejszych.

Taki człowiek, według tych relacji, nie mógł nikogo kochać, a przecież widoczném było, że córkę swoją kochał nad wszystko, kochał nawet z pewną ekscentrycznością.

Jedna z najlepszych przyjaciołek mniemanéj nieboszczki była tego zdania, że pan Bóg czasem za karę daje człowieko-

wi szlachetne uczucie, aby go potém przez to samo uczucie najsrożéj ukarać....

Bądź co bądź, Anna była kochaną od swego ojca, jak się rzadko trafia któréj sierocie. Otoczył ją wszystkiém, co tylko umysł i serce uszlachetnić może. Mówią, że tylko chory czuje, jak wielce pożądaném jest zdrowie. Być może, że ojciec Anny, jak utrzymywały przyjaciołki jego żony, nie miał właśnie tego, czém chciał córkę do życia wyposażyć, że nie miał ani serca, ani duszy szlachetnéj. Być może, że czując w sposób nader bolesny taki brak w sobie, nie chciał, aby z podobnym brakiem córka jego w świat weszła. Dlatego nie poprowadził jéj swojemi drogami życia, na których może szczęścia nie znalazł, ale otworzył przed nią ponętną krainę poezji, sztuki i tego wszystkiego, co serce ożywia i umysł po nad wyziewy ziemi podnosi.

Od najmłodszych lat dał jéj stosownych nauczycieli, a gdy widział, że dorastająca dziewica stworzyła już około siebie mały idealny światek, zostawił ją w tym świat-

ku, sam zaś cofnął się w swoją zimną atmosferę.

Czasami tylko, gdy o swojéj godzinie w dużém krześle siedział, a Anna na fortepjanie grała, zdawało mu się, że na ręce córki wchodzi w jakiś świat lepszy i cieplejszy; że słyszy dziwne głosy natury, których dotąd nigdy nie słyszał; że widzi na drogach życia jakieś wonne kwiaty, których dotąd nie spostrzegł... ale wnet następowało gorzkie przebudzenie. Nie był to wcale żywioł dla niego; on tam nie mógł żyć i oddychać; to wonne powietrze drażniło jego płuca, kwiaty raziły oczy... on musiał czémprędzéj wracać do swojéj wilgotnéj, podziemnéj atmosfery, do któréj się przyzwyczaił, gdzie mu było dobrze, nawet w towarzystwie plugawych płazów... Wtedy zazwyczaj zrywał się nagle, brał kapelusz na głowę i z wielkiém zadziwieniem córki, bez pożegnania wymykał się z domu, jakby mu tutaj groziło jakie wielkie niebezpieczeństwo.

Anna wtedy zostawała sama. Była jeszcze w domu stara gospodyni; ale dla

téj prostéj — choć poczciwéj — kobiety nie miała żadnych zwierzeń. Zamknęła się więc w sobie, otoczywszy się swoim wymarzonym światem.

Grała, malowała, czytała, a dzień po dniu schodził szczęśliwie. Wieczorem poczynały się marzenia, a noc zostawioną była dla snów złotych i rajskich, jakie tylko wyśnić może piękna dusza osiemnastoletniéj dziewicy.

Do domu ojca prawie nikt w goście nie chodził. Czasami jaki nieznajomy przyszedł na chwilę za interesem, pogadał z ojcem w osobnym pokoiku czas niejakiś i odchodził nie witany ani żegnany przez Annę. Właściwych gości, którzyby z przyjacielskich pobudek dom nawiedzali, nie było żadnych. Anna więc skazaną była na ustawiczną samotność, i przyzwyczaiła się w końcu do téj samotności. Nauczyciele, którzy ją odwiedzali, byli zazwyczaj ludzie sędziwi, a najmłodszy, który ją przed kilku laty uczył historji i literatury, był bardzo biedny i garbaty.

Muzyka, sztuka i literatura mogą być

często ostatecznym celem dla kobiety, któréj życie już żadnych ponętnych barw nie obiecuje; ale nie są nim dla dziewicy kilkunastoletniéj. Wcale inny, rozkoszny, całą duszą upragniony horyzont miga w błękitnawém świetle, po za temi boskiemi córami, które są tylko jéj przewodniczkami do téj krainy szczęścia, tak ponętnie, tak błogo wymarzonéj!...

Anna grała, malowała i czytała, ale śród gry, przy farbach i książkach migała przed nią zawsze jakaś dziwnie uśmiechająca się postać, która — podając jéj rękę na drogę życia — wskazywała na łąki pełne róż i kwiatów polnych.

Zamało znała ludzi, aby z tych mogła wybrać sobie model do téj dziwnéj, uśmiechającéj się postaci. Żaden z widzianych nie był do niego podobnym. Byli to często ludzie zacni i dobrzy, ale nie był to przecież on!

Cały osiemnasty rok dręczyło się biedne serce Anny wynalezieniem podobnego człowieka. Rozumié się samo przez się, że człowiek ten miał posiadać wszelkie naj-

szczytniejsze przymioty serca i duszy. Miał być mądry i szlachetny, miał kochać gorąco wszystko to, co jest pięknem i wzniosłém w życiu i na całym świecie, miał dać dowody, że jest w stanie i umié się dla innych poświęcać, jeśli tego potrzeba wymaga. Powinien był czuć bijące tętna natury i ludzkości, i wiedzieć, czego one od niego wymagają... słowem powinien być ideałem wszystkich tych pięknych rzeczy, jakie tylko wyśnić może wyobraźnia osiemnastoletniéj dziewicy, żadnym pyłem światowym nie zaprószona! O tém śniła Anna przez cały rok osiemnasty, ale śniła napróżno!

Zkądże było wziąć takiego człowieka? Do domu nikt z podobnych ludzi nie przyszedł, a na ulicy widziała tylko młodzież z cygarami w ustach, śmiejącą się nader prozaicznie, patrzącą na nią nie takiém idealném spojrzeniem, jak patrzał na nią jéj człowiek wymarzony.

W dziewiętnastym roku życia otrzymała wyobraźnia Anny nowy zasiłek. Mury klasztoru pokarmelickiego zaczęły się za-

pełniać więźniami politycznemi. Zwożono ich zazwyczaj późną nocą pod eskortą konnicy. Anna słyszała wtedy, jak brama więzienna przeraźliwie skrzypiała, słyszała przytłumiony dźwięk kajdan i głuchy chrzęst broni postępującéj za więźniem straży... i jeśli była noc cicha, słyszała nawet wyraźnie, jak się odmykała i zamykała kazamata, ów grób straszliwy, w którym żywcem grzebiono człowieka!...

Wtedy gorąca wyobraźnia wystawiała jéj przez całą bezsenną noc tego więźnia w barwach, w jakich tylko jéj ideał zwykł się okazywać. Do tego rzeczywistość była jéj nader pomocną. Już nie potrzeba jéj było śnić i latać po eterach, bo o kilkanaście kroków byli ludzie, którzy mieli w około siebie słusznie zasłużoną atmosferę bohaterów. Nie wnosili oni wprawdzie do swoich kazamat zwycięzkiego wieńca, w jakim radzi bohaterów widzimy, ale to co wnosili, było jeszcze wyższém i wznioślejszém od wszelkich wawrzynów!...

Wnosili bowiem z sobą kajdany żela-

zne, które przez długie lata na ich rękach i nogach pozostać miały... wnosili łzy i rozpacz rodzin swoich, których potrafili się wyrzec dla jednéj wielkiéj, a wspólnéj wszystkim matki... wnosili z sobą cały czar młodego życia, które odtąd zwolna kapać miało w wilgotnych podziemiach, i kapać może do ostatniéj kropli!... słowem wnosili to wszystko, co tylko wielki i szlachetny człowiek dać może!

Takie postacie przesuwały się teraz przed oczami Anny. Z nich urabiała sobie ideały, i całemi dniami patrzała w małe, żelazną kratą osłonione okienka, czy tam nie obaczy swojéj wyśnionéj, znajoméj twarzy!

Każde cierpienie ma wielki urok. Wprawdzie tylko wyższe, szlachetniejsze dusze podlegają temu urokowi. Dusza Anny była zapewnie również szlachetną, jeśli ten urok wywarł na niéj takie wrażenie.

Odtąd największą było dla niéj rozkoszą, patrzyć na te małe, okratowane okienka. Często pojawiła się twarz więźnia w tém okienku; twarz blada i smutna, i

spojrzała na nią smutném, melancholijném okiem. Wtedy podnosiła się pierś Anny, lice farbował nieznaczny rumieniec, a serce biło daleko prędzéj, niżeli przy książce lub muzyce...

Dziwne to, czysto sympatyczne uczucie zaprowadziło ją daléj. Wyrozumowała sobie, że tym biednym za tą kratą siedzącym ludziom można czémś ich los osłodzić, i tym sposobem podzielić się niejako z nimi tém ponętném uczuciem cierpienia. Robiła więc, co w jéj siłach było i co od niéj żądano.

Ponieważ okna jéj wprost na okna więzienne wychodziły, można więc było patrzyć się na więźniów, a nawet i porozumiewać się z nimi sposobem umówionym. A gdy w mieście dowiedziano się o przychylném dla więźniów usposobieniu Anny, pokoik jéj nie mógł pomieścić płaczących matek, żon, sióstr i dzieci, które cisnęły się do okna, aby przez łzy patrzyć choć chwil kilka na twarze ukochane za grubą kratą żelazną!..

Śród tak pięknych i wielkich scen, roz-

szerzało się jéj serce coraz wiecéj; i byłaby niém chętnie cały świat objęła, gdyby ten świat tego od niéj zażądał... I zespoliła się myślą i uczuciem z tymi, co tam za kratą siedzieli, i była dla nich aniołem pociechy i litości. Była dla nich jedyną spójnią ze światem rzeczywistym, ze światem żyjących. Wymyśliła znaki, za pomocą których dowiadywała się, czego więźniom potrzeba, i temi samemi znakami posyłała im wiadomości ze świata, które nieraz dla nich były wielkiéj wagi.

Zrazu skrzywił się ojciec bardzo dziwnie, gdy dostrzegł u córki taką sympatję dla więźniów. Chodził przez kilka godzin zamyślony po pokoju, jakby coś w głowie ważył. Wreszcie wypogodził czoło, a nawet zdawało się, że był kontent. Annie nic nie powiedział, ale téż i nigdy nie przychodził do domu w tych godzinach, w których Anna przyjmowała u siebie nieszczęśliwe żony, córki i matki, i pozwalała im z okna swego patrzyć na więźniów i znakami z nimi rozmawiać.

A gdy o szaréj godzinie, w podziękę za jéj dobre serce, wydobyła się z poza kraty rzewna piosenka więźnia i do jéj ucha płynęła, puszczała Anna wodze swojéj młodéj wyobraźni i śniła słodko i roskosznie, śniła długo, długo, póki na wieży bernardyńskiéj nie uderzyła godzina ósma.

O téj godzinie zwykł przychodzić jedyny jéj gość wieczorny.

I w téj chwili, zapaliwszy świecę, usłyszała właśnie na schodach zbliżające się kroki.

Pośpieszyła do drzwi, aby pożądanego swego gościa z uśmiechem na twarzy przywitać, gdy nagle spostrzegła, że to nie są jego kroki. Z dziwném jakiémś uczuciem, które ją w téj chwili opanowało, otworzyła drzwi i ucieszyła się widocznie widząc, że jéj serce napróżno się czegoś przelękło...

Był to bowiem ojciec... ten sam ospowaty mężczyzna, z rajskiém jabłkiem przy kamizelce, który wczoraj rano tak skwa-

pliwie przyniósł jenerałowi wiadomość o wykryciu przez sąd rozgałęzionego spisku, i wyszedł od niego z rulonem złota w kieszeni...

Anna z radością ucałowała jego rękę.

VIII.

Ojciec przywitał córkę z nieudaném zadowoleniem. W oczach jego malowało się szczęście, a nawet twarz była niezwykle opromieniona. Ruchy jego były żywe, jakie tylko miewał w szczęśliwych chwilach życia.

Córka spostrzegła natychmiast wyjątkowe usposobienie ojca. Zazwyczaj widziała u niego czoło zachmurzone, jakby na cały świat się gniewał. Dzisiaj wygładziło się to czoło, a nawet świeciła na niém jakaś myśl światu przyjaźniejsza. Anna przeczuła to i z żywiéj bijącém sercem przycisnęła się do piersi ojca...

I ojciec poznał także, że córka jego w niezwykłém jest usposobieniu. Słyszał,

że jéj serce żywiéj bije, że z jakąś dziwną gorączką garnęła go do siebie. Patrzał czas niejaki z uwagą w jéj oczy, a potém rzekł:

— Cóż to dziecię moje patrzy dzisiaj na mnie tak świecącemi oczkami?

— Bo ojczulko przyniosłeś dzisiaj z sobą jakiś dziwny talizman szczęścia! — odparła z uśmiechem Anna.

Ojciec chciał według zwyczaju włożyć rękę do kieszeni, ale tam spotkał się w téj chwili z rulonem złota. Prędko cofnął rękę, wziął za rajskie jabłko i zaczął je naokoło osi obracać.

— Mówisz o talizmanie szczęścia, — ozwał się po chwili, — zkąd jabym wziął tego talizmanu?.. Spodziewam się, że znajdziesz go sobie sama!.. Nietrudno będzie ci szukać!

Anna zarumieniła się zlekka i spuściła oczy do ziemi w dziwném jakiémś uczuciu.

— Mówisz ojczulko, że łatwo znajdę ten talizman?.. — mówiła po chwili w zamyśleniu, i zakończyła długiém, głębokiém

westchnieniem, podczas gdy ojciec z uwagą w nią się wpatrywał.

— Sądzę, żeś go znaleźć powinna, — rzekł po chwili, a oczy jego błysnęły dziwnym wyrazem.

— Aby znaleźć, trzeba dopiero szukać! — z lekkim kaprysikiem mówiła jedynaczka, — a ja... ja szukać nie umiem! Może być, że inne kobiety to umieją, do mnie powinno samo szczęście przyjść, jeżeli chce, abym się z niém nie rozminęła!.. A mówią, że rozminąć się z swojém szczęściem to tak łatwo!..

Ojciec patrzał ciągle z uwagą w twarz Anny. Była ona dzisiaj jakoś dziwnie rozmarzoną. Tak jéj jeszcze nigdy nie widział. Myślał chwilę nad tém, a nie znalazłszy żadnéj rzeczywistéj przyczyny, odparł z uśmiechem:

— Być może, że szczęście do ciebie już się zbliża, jeśli w tak dziwném jesteś usposobieniu...

Już sama myśl o szczęściu była dla dziewietnastoletniéj dziewicy tak roskoszną, że gorąco uściskała ojca, który je-

dnak śród tych uścisków dziwnie wyglądał. Zdawało się, że mu te uściski nie były przyjemne.

— Dlaczegóż jesteś dzisiaj dla mnie tak nadzwyczajnie czułą? – zapytał z chmurą na czole.

— Bo zdaje mi się, że ojculko masz już dla mnie szczęście... w kieszeni!

Ojciec machinalnie zbliżył znowu rękę do kieszeni, i znów spotkał się tam — z rulonem złota. Twarz jego przybrała nagle wyraz brzydki. Słychać nawet było lekkie zgrzytnienie zębów.

— Szczęście, — mruknął ponuro, — które się w kieszeni chowa lub z kieszeni pochodzi, djabła warte! Pragnąłbym dla ciebie innego szczęścia. Dlatego kazałem cię uczyć wszystkich tych rzeczy, które szczęście dać mogą. Zdaje mi się, że ono lepsze będzie, niżeli to, które mam w kieszeni!

Rzekłszy to odwrócił się od córki, aby przejść do swego pokoju. Obejrzał się jednak i zapytał:

— Czy pan Jerzy był już dzisiaj? Nie

widziałem go od dwóch dni. Nic o nim nie słyszałaś?

— Pan Jerzy nie był jeszcze, — odpowiedziała Anna, — ale zapewnie tylko co go nie widać.

— Gdy przyjdzie, zatrzymasz go u siebie, aż sam do was się zgłoszę.

— Czy ojczulko jeszcze gdzie wyjdzie? Już późny wieczór, ósma dawno minęła!

— Nigdzie nie wyjdę, tylko będę u siebie w pokoju... Ma przyjść ktoś do mnie.

— Czy zaprosi go ojczulko na wieczerzę? W takim razie kazałabym Małgorzacie...

— Nie, na wieczerzę nie zaproszę go, nie chciałby, aby go kto widział...

Duże, błękitne oczy Anny rozjaśniły się. Ucałowała rękę ojca i przycisnęła ją do bijącego serca.

— Cóż to jest? — zapytał z zadziwieniem ojciec, — wszak nie wiesz kto przyjdzie!

— O wiem, wiem, — odparła zniżonym głosem Anna, w którym drżało dziwne uczucie, — wiem, kto przyjdzie, kiedy ojczulko tak mówisz!.. Zapewne jeden z ta-

kich, co tam biedni za temi kratami siedzą...

Mówiąc to, wskazała ręką na bielący się w dali mur więzienny i jeszcze raz ucałowała rękę ojca. Ojciec patrzał na nią z dziwnym wyrazem na twarzy. Pomyślał chwilę, uśmiechnął się z ironją i odparł:

— Widzę, że przed tobą nie można nic ukryć. Tak jest... będzie to jeden z tych... spodziewam się, że zostanie to przy tobie tajemnicą najgłębszą! Przed nikim ani słówka o tém nie powiesz! Nawet przed panem Jerzym nic zwierzaj się.... Są rzeczy, do których iść trzeba drogami niezwykłemi. Czasem nawet człowieka na tych drogach jakiś zarzut spotkać może... ale mniejsza o to, byle tylko dojść do celu. Wierzaj mi, są w życiu daleko większe ofiary, niżeli dać się zamknąć za kratą więzienną!.. Dla mnie już dosyć, że moje dziecko ujrzy mnie czasem, choć tylko przypadkiem, takim, jakim jestem w istocie!

Rzekłszy to, przyłożył zimne usta swoje do czoła córki i odszedł do trzeciego pokoju, zamknąwszy drzwi za sobą.

Anna pozostała sama dziwnie zamyślona. Słowa ojca były jakoś zagadkowe dla niéj. Wskazywały one na coś, czego zrozumieć nie mogła. Usiadła na sofie i zaczęła nad tém myśleć.

Ojciec jéj nie był wprawdzie głośnym patrjotą. Nigdy nie słyszała od niego żadnego słowa, któreby się do sprawy polskiéj odnosiło. Żył tylko w atmosferze obecności i o téj rad rozmawiał. Wpadło jéj nawet nieraz w oko, że inni ludzie nie byli jakoś ojcu przychylni. Nie miał on żadnych bliższych przyjaciół, a ci, co go czasem odwiedzali, byli najczęściéj urzędnicy lub wojskowi wysłużeni.

Otoczenie to mogło wprawdzie rzucać na ojca pewne światło indyferentyzmu politycznego, ale tego nie można mu jeszcze było za złe poczytać. Człowiek natury dosyć realistycznéj, nie lubi wdawać się w marzenia przyszłości. Mimo to nie można go przecież odsądzić od pewnego u-

czucia, które może głębiéj u niego mieszka, niżeli u innych.

Tak sobie zawsze myślała Anna, i w téj chwili nic innego na myśl jéj przyjść nie mogło. Urywkowe słowa ojca wytłómaczyła sobie w ten sposób, że i on czuje ten ciężar pozornéj, nieprzychylnéj mu opinji na sobie, ale jest oraz przekonany, że na tę opinję nie zasłużył. Przekonanie to chciał kilkoma słowami wlać także i w córkę swoją, jeśliby ta opinja do jéj ucha dojść miała.

Słów tych jednak nie potrzebowała Anna. Była przekonaną, że jakkolwiek ojciec z patrjotyzmem swoim nigdy się nie popisywał, ale za jéj wiedzą zrobił kilka rzeczy, które mu pod tym względem najpiękniejsze świadectwo dawały. Dlatego w téj chwili tém bardziéj się ucieszyła, że ojciec ze swemi patrjotycznemi uczynkami kryje się przed światem, co nietylko wielkiego rozsądku, ale nawet i szlachetnéj skromności dowodzi.

Tak wyrozumowała to sobie w pięknéj główce swojéj osamotniona jedynaczka i

z lekkiém sercem wstała z sofy, aby na fortepianie zagrać lub jaką piosnkę zaśpiewać. Jéj serce doznawało teraz jakiegoś nader przyjemnego uczucia. Cieszył ją dobry uczynek ojca, do którego spełnienia właśnie odszedł, i cieszyło ją coś jeszcze, czego wcale nazwać nie umiała. Wprawdzie oczekiwała pana Jerzego, ale czy ta radość nadzwyczajna do niego się odnosiła?.. Wszak Jerzy prawie codzień przychodzi, a przecież serce jéj nie doznawało tak dziwnego uczucia, jakiego właśnie w téj chwili doznaje?... A może Jerzy właśnie przyjdzie dzisiaj w aureoli jakiego szlachetnego czynu, który przeczuwa wrażliwa jéj dusza? Wszak dobre i szlachetne czyny przystygają do człowieka i tworzą ów magnes niewidomy, który wszystkich przyciąga!...

Pokój, w którym się teraz ojciec znajdował, miał drzwi do sieni. W téj chwili zapukał ktoś lekko do tych drzwi. Ojciec wstał, ale nim drzwi otworzył, przeszedł pierwéj przez pokój, który Annę od jego pokoju oddzielał i drzwi do niéj przy-

mknął. Drugie drzwi zostawił otwarte spiesząc otworzyć gościowi.

Drzwi od pokoju Anny nie zamknęły się szczelnie. Pozostała wązka szpara, przez którą można było widzieć wchodzącego gościa. Z dziwném jakiémś uczuciem, z bijącém sercem zbliżyła się Anna do téj szpary.

Do pokoju ojca wszedł teraz młody, pięknéj postaci człowiek. Serce Anny zadrżało dziwnie.

Młody człowiek mógł mieć najwięcéj lat dwadzieścia pięć lub sześć. Twarz jego była bardzo blada, a nawet może nad jego wiek małemi zmarszczkami pokryta. Widać było na téj twarzy jakieś zmęczenie, jakby się już nieraz z życiem pasował. Skroń miał nadzwyczajnéj białości, a przebiegające ją w różnych kierunkach siwe pręgi wyglądały jak tajemnicze drogoskazy, któremi wiele, wiele myśli przemknęło.... Oczy miał duże, wypukłe, otoczone do koła ciemną obręczką, śród któréj tém mocniejszym, jakby chorowitym pałały blaskiem. Jasne włosy wiły się do-

16

wolnie i nader malowniczo na jego głowie. Piękny ich niełád okazywał, że młody człowiek niebardzo się niemi zajmował i dał im tę swobodę, przy któréj tak malowniczo wyglądały. Cała twarz była piękna i odznaczała się nader regularnemi rysami. Usta tylko miały jakiś wyraz ironji czy przesycenia, który z malującą się na twarzy i oczach młodością nie był w dobréj harmonji. Ubiór jego był wykwintny, chociaż trochę pomięty i zaniedbany. Ruchy i swobodne zachowanie się okazywały człowieka obytego w towarzystwie. Z pewnym urokiem podał gospodarzowi rękę i tak niedbale i wdzięcznie rzucił się na fotel, że najwybredniejszy artysta nie mógłby wskazać mu lepszéj pozy.

Widok ten niezwykły pochłonęła Anna spragnionemi swemi oczyma i sama nie wiedziała, jak jéj w téj chwili było. Coś zaszło w jéj sercu, z czego sobie nie umiała zdać sprawy. Doznała dziwnego wrażenia, o jakiém dotąd nie miała wyobrażenia. Zdawało się jéj, że do wyśnionych

swoich ideałów znalazła postać, która takowym we wszystkiém odpowiadała...

W téj chwili powstał ojciec i zamknął drugie drzwi. Przed oczyma Anny została tylko ciemna przestrzeń, przecięta blademi smugami światła, które przez szyby okna przedzierało się z latarni ulicznéj.

Ale w téj ciemnéj przestrzeni jaśniała jasna postać nieznajomego. Na czarném tle nabierał coraz więcéj uroku i przed oczyma Anny ubierał się zwolna w jaskrawe szaty bohatera...

Duszę miała Anna już dawno gotową — teraz dała ją nieznajomemu. Z kilku słów ojca wiedziała już mniéj więcéj jaki to człowiek być może. Miał on być podobnym do tych, którzy za kratą więzienną siedzieli. To wystarczyło już jéj, aby go ustroić w najpiękniejsze szaty bohatera. A do tego postać cała tak piękna, tak urocza! Tylko piękna, bardzo piękna dusza może mieszkać w tak pięknem ciele!..

I zamarzyła słodko i rozkosznie i odeszła do fortepianu, aby choć muzyką,

owym tajemniczym kluczem serca, przesłać mu wiadomość o sobie...

Przeszkodził jednak temu nowy gość, który w téj chwili wszedł do pokoju.

IX.

W pierwszéj chwili przywitała Anna wchodzącego gościa nader przyjaznym uśmiechem. W pierwszéj chwili wydało jéj się, że jego przyjście sprawiło jéj wielką radość. Był to jakiś dziwny instynkt, podobny do téj tajemniczéj siły, która roślinom każe wyrastać i wykręcać się w kierunku słońca. Ale siła ta wnet ustała, gdy jéj na myśl przyszedł nieznajomy, który w téj chwili z ojcem rozmawiał.

Przed nią stał tylko człowiek, którego codziennie widywała, z którym po całych godzinach spokojnie rozmawiała, a któremu może nawet teraz za złe miała, że jéj marzeniom przeszkodził!..

Spostrzegł to gość nowy, a wyrazista

twarz jego zasępiła się nieznaczną chmurką.

— Może przychodzę zapóźno? — ozwał się dźwięcznym głosem i spojrzał na zegarek.

Dziwna wibracja głosu, jakim te słowa wymówił, uderzyła niemile o serce Anny i wzbudziła w niém zasłużony wyrzut. Z całą serdecznością podała rękę gościowi, ścisnęła go nawet goręcéj niż zwykle i rzekła z przyjaznym uśmiechem, z którym wyglądała zachwycająco:

— Tak jest, panie Jerzy, przychodzisz pan zapóźno... bo już oddawna oczekiwałam pana!

Wynędzniała, żółta jak pargamin twarz gościa ożywiła się lekko, a piękne oczy jego zamigotały dziwnym blaskiem. Spojrzał z pewną bojaźnią na twarz Anny... patrzał tak chwil kilka... lekko westchnął. Potém nabrał w pierś nowego oddechu, złożył usta do melancholicznego uśmiechu i odparł:

— Pani zawsze łaskawa dla mnie, a ja... ja zawsze niewdzięczny!

— Zlituj się pan! — ozwała się z cza-

rującym uśmiechem, — czy i pan masz tę niegodziwą maksymę, którą jeden z francuskich pisarzy ogłosił, że „niewdzięczność jest niepodległością serca?“

— Uchowaj Boże! W takim razie byłbym najwdzięczniejszym.. wdzięcznym aż do zbytku!

— Więc pan nie lubisz niepodległości?.. A mówiłeś pan, żeś niewdzięczny...

— Bo ile razy mi pani piękny kwiatek podajesz... to ja patrzę, gdzie ma kolce ten kwiatek...

— Czyż w moich ręku wszystko w kolce się zamienia?

— Być może, że tylko dla mnie!... a przynajmniéj obawiam się tego!

Anna spojrzała pełném okiem na mówiącego. W jéj oczach nie było wcale téj dziwnéj, nieokreślonéj mowy, którą lubią szermierzyć niektóre kobiety. Był tam poprostu jakiś żal, jakiś smutek, że jéj niewinnie taki zarzut zrobiono. Zrozumiał ten żal gość przybyły, sięgnął po jéj drobną rączkę i rzekł:

— Daruj mi pani, bo dzisiaj wiele mo-

żesz mi darować. Zdaje mi się, że zasłużyłem na to... Mam dziwne chwile w życiu, w których zdaje mi się, żem więcéj wart, niżeli świat mi zwykle daje. Ale to grzeszna zarozumiałość tylko i pycha ducha! I zaraz odbieram karę za to! Ale przyzwyczajam się już do téj kary. Tyle razy sięgnąłem po złudne kwiaty i rozraniłem ręce, że teraz w każdym kwiatku obawiam się ciernia, w każdym dźwięcznym frazesie domyślam się ironji i szyderstwa...

— Ach, jakąż krzywdę wyrządzasz mi pan! — rzekła z boleścią Anna — za to za pokutę musisz pan tu na téj małéj sofce długo, bardzo długo ze mną siedzieć, póki ojciec nie uwolni się...

Rzekłszy to, pociągnęła z niewysłowionym wdziękiem gościa za sobą i oboje usiedli razem.

Stojąca na stole świeca oświeciła teraz pełnym blaskiem nowo przybyłego gościa.

Była to smutna, nader smutna postać. Widok téj postaci był koniecznie potrzebnym, aby zrozumieć jego słowa zapra-

wione tak dziwną goryczą... Był to człowiek garbaty!

Są twarze, na które trzeba umieć patrzyć, co nie każdy potrafi. Taką twarz miał gość Anny. Na pierwszy rzut oka mogła ta twarz dla zwykłych ludzi uchodzić za brzydką. Była to twarz zwykłego garbatego człowieka. Usta naprzód podane, czoło w tył wsunięte, po za którém sterczały uszy dosyć znacznych rozmiarów, nie nadawały jéj wiele wdzięku. Wpatrzywszy się jednak w nią bliżéj, można było pod jéj żółtą pargaminową skórą dopatrzyć się dziwnie rozwiniętego życia duchowego, które tam nieustannie jak woda z pełnéj krynicy tryskało. Oczy żarzyły się głębokim, demonicznym blaskiem. Widoczném było, że w tym blasku paliły się piękne, podniosłe myśli. Ale po za tą sympatycznie ożywioną twarzą następował zaraz ułomny tułów, który mimowoli wiele z wrażenia twarzy zacierał.

Anna miała wiele szacunku i przyjaźni dla byłego swego nauczyciela, aby mu dać uczuć nieszczęśliwe jego kalectwo.

Przeciwnie; ile razy spostrzegła, że smutna myśl o kalectwie zaczyna go przygniatać, umiała tak zręcznie czoło jego wypogodzić, że biedny kaleka zupełnie o tém zapominał.

Jerzy umiał ocenić to szlachetne uczucie Anny, i dlatego przy niéj czuł się mniéj upośledzonym. Szukał często jéj towarzystwa, a chwile spędzone w jéj domu liczył do pięknych chwil życia.

Ojciec Anny z razu krzywo patrzył na te częste odwiedziny nauczyciela. Po niejakim czasie jednak, przypatrzywszy się bliżéj córce i gościowi, nietylko zezwolił na to, ale nawet często sam Jerzego do domu zapraszał. Ponieważ jednak we wszystkiém miał pewną rachubę, obliczył zapewne, że towarzystwo pięknie wykształconego człowieka dla osamotnionéj jego jedynaczki będzie korzystném, a nieszczęsne kalectwo jego uwolni go od wszelkiéj obawy, któraby jéj sercu zagrażać mogła. Może nawet jeszcze i inną miał rachubę, z którą jednak przed nikim się nie wygadał. Jerzy uchodził nietylko za gorącego

patrjotę, ale nawet w skutek tego był pod najściślejszym dozorem policyjnym. Z tego jednak nie myślał korzystać ojciec Anny. Przyjaźń bowiem Jerzego była dla niego dobrym płaszczem w obec zbyt ciekawéj opinji publicznéj, i naprawiała wiele rzeczy, które tamta niegodziwie popsuła.

Jerzy zaś widział w ojcu Anny tylko człowieka indyferentnego na wszelkie sprawy publiczne, ale w gruncie niezłego, i dlatego innym przemawiał do niego językiem jak do córki. A może właśnie niejakie względy dla téj ostatniéj były powodem, że Jerzy nie widział rzeczy lub nie chciał ich widzieć, jak je widzieli inni. Zresztą widział on także niektóre dobre rzeczy, które wielce na korzyść ojca Anny przemawiały, a jako człowiekowi szlachetnemu wystarczały, aby złośliwym wieściom wcale nie wierzyć.

— Czy ojciec pani jest zatrudniony? — zapytał po chwili milczenia patrząc na Annę.

— Tak jest.... zdaje mi się, że pisze listy, — odparła Anna i zarumieniła się.

— Jeśli się nie mylę, to zdaje mi się, że słyszę ojca mówiącego...

— W saméj rzeczy... i mnie się zdaje... zapewnie ktoś nadszedł.

— Pani nie jesteś szczerą dla mnie; widzę na twarzy jakieś zakłopotanie...

— Mój Boże! Dla pana nie mogę być nieszczerą.... widzisz pan, nawet nie potrafię! Otóż powiem panu, z czego pan również cieszyć się będziesz jak ja się cieszyłam, chociaż to sprzeciwia się czwartemu przykazaniu, które każe czcić i słuchać ojca, być mu posłuszną.

— Czy ojciec nakazał pani tajemnicę?

— Tak jest. Powiedział, że nie chce aby świat o jego dobrych uczynkach wiedział....

— To zachowaj pani tajemnicę. Dzisiaj dobre rzeczy potrzebują jak największéj tajemnicy!

— To prawda! Mówią, że ściany mają uszy! A zkąd wzięłyby się pełne więzienia?

Jerzy zamyślił się dziwnie na te słowa. W jego oczach zamigotał dziwny ogień

Wyciągnął wychudłą rękę, ścisnął pięść, podniósł do góry i dziwnie dźwięcznym głosem zadeklamował:

„I ten szczęśliwy, kto śród zawodu
Legł świętym wiedzion zapałem,
Bo jeżeli legł on ciałem —
Dał innym szczebel do sławy grodu!..“

Anna patrzała przed siebie zamyślona. Ale nagle wzdrygnęła się i zbladła. Po chwili rzekła:

— Ach to okropnie zginąć śród drogi!.. Przecież nie wszystkim wydarza się tak smutny los....

— Czy miała pani kogo w téj chwili na myśli? — zapytał Jerzy i smutno spojrzał na Annę.

— W téj chwili... w téj chwili... — sączyła zwolna Anna, — miałam na myśli w ogóle szlachetnego człowieka, który się dla drugich poświęca!..

— Czy mogłabyś pani ukochać takiego człowieka? — zapytał z dziwną ironją Jerzy.

Anna zarumieniła się po sam rąbek su-

kienki. Oczy jéj błyszczały jak dwie duże gwiazdy.

— Ach, jak pan pytać o to możesz!.. — odpowiedziała napół szeptem, — pan, który tyle razy się poświęcałeś, który prócz poświęcenia się nie znasz prawie żadnego innego uczucia...

Jerzy spojrzał smutno przed siebie. Dziwny wyraz przebiegł mu po twarzy. Spuścił głowę na piersi i odrzekł:

— Jak piękne, ale oraz jak okrutne słowa wyrzekłaś pani w téj chwili!

— Nie mogę się wcale domyślić mojéj winy, — podjęła szybko Anna z małą chmurką na czole.

— Tém gorzéj... nie, tém lepiéj dla tych, którzy się tylko poświęcać umieją; którzy prócz poświęcenia innego uczucia znać nie mogą i znać nie powinni!... Wielkiéj idei, wielkiemu uczuciu nie można dać... pół serca, pół duszy!

Słowa te wyrzekł Jerzy dziwnie brzmiącym głosem. Drżało w tym głosie jakieś z głębi wydobywające się uczucie, które chciał zwalczyć, a którego jednak poko-

nać nie mógł. Oczy jego rozpaliły się żywiéj.

Anna przy tych słowach mocno posmutniała. Twarz jéj nawet lekko zbladła, a usta zadrżały.

— Odpłaciłeś mi się pan w sposób nieszlachetny; — ozwała się po chwili — nie miałeś pan na to względu, że walczyłeś z przeciwnikiem daleko słabszym od siebie. Ale przebaczyłam panu, bo uczyniłeś to mimo wiedzy...

Tu podała drobną rączkę Jerzemu i spojrzała na niego zwilżonemi oczyma. Jerzy dziwnego w téj chwili doznał uczucia, pochwycił tę drobną rączkę i serdecznie uścisnął... A tymczasem przed oczyma Anny przesuwała się zwolna postać nieznajomego, który w téj chwili z ojcem rozmawiał...

— Teraz na mnie koléj — rzekł dziwnie wzruszony Jerzy — zapytać pani: czém zawiniłem?

— Powiedziałeś pan, że człowiek, który się dla wielkiéj idei poświęca, nie powinien mieścić w swém sercu żadnego in-

nego uczucia... byłoby to bardzo, bardzo smutno dla nas, które chciałybyśmy takiego człowieka ukochać...

W téj chwili znowu przesunęła się postać nieznajomego przed nią. Jerzy téj postaci nie widział.

— Powtórzyłem tylko mniéjwięcéj myśl pani, — odparł żywo — wszak pani powiedziałaś mi przed chwilą, że poświęcający się dla innych człowiek, nie może innego zaznać uczucia...

— Miałam wtedy tylko pana na myśli — wyszepnęła Anna i zamyśliła się.

— Jeśli tak... toś pani dobrze powiedziała! — odparł ze smutnym uśmiechem garbaty i także się zamyślił.

Długi czas trwało milczenie. Anna patrzała przed siebie i całą przestrzeń aż do drzwi niedomkniętych zapełniała zwolna dziwnie pięknemi obrazami... Jerzy patrzał w przeciwnym kierunku, patrzał ku ścianie, na któréj wisiał Kościuszko z szablą w ręku, i zapełniał tę przestrzeń od siebie do Kościuszki dziwnie ponętnemi obrazami...

Jedne i drugie obrazy były zapewne bardzo rozkoszne, jeśli wnosić można z twarzy Anny i z twarzy Jerzego. Na obu tych twarzach malowało się w téj chwili nadzwyczajne ożywienie. Anna marzyła o tajemniczym nieznajomym, który o przestrzeń pokoju tylko był w téj chwili od niéj oddalony, i lotem błyskawicy układał się w jéj sercu mały, cichy, lecz rozkoszny dramacik... Jerzy z razu miał twarz zasępioną, ale zapewne znalazł coś dla jéj rozweselenia, bo widocznie przebijała na niéj jakaś radość wewnętrzna.

— Dłuższe milczenie—rzekła po chwili Anna — pogodziło nas. Czasem milczenie więcéj dokaże, niż najbardziéj ożywiona rozmowa... Widzę, żeś pan wrócił do tego samego, że tak powiem, szczęśliwego usposobienia, z jakiém przyszedłeś. Cieszę się z tego, że ta mała chmurka, która śród rozmowy nad nami zawisła, rozeszła się i przepadła! I dobrze się stało, bo dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem wyjątkowym. Nie wiem dlaczego, ale czuję się jakoś szczęśliwszą w tym dniu. Ojciec

wrócił w tak dobrym humorze, jak go rzadko widuję. Zdaje mi się, że tym humorem natchnął go dobry uczynek, który spełnić postanowił... A pan wszedłeś także w niezwykłém rozpromienieniu... Powiedz mi pan, przyznaj się pan... pan zapewne także wzbogaciłeś swe serce jakim pięknym, wzniosłym uczynkiem...

Jerzy zadziwiony patrzał czas niejaki na Annę. Potém zachmurzył się i odrzekł:

— Dziwne masz pani wyobrażenie o nas Zdaje się pani, że każdy człowiek przychodzi na świat ubogi i powoli wzbogaca się przez życie dobremi uczynkami. Być może, że to się dzieje z każdym innym człowiekiem, ale nie z nami, którzy się na téj nieszczęśliwéj ziemi rodzimy. My rodzimy się mniéj niżeli ubodzy, rodzimy się z długami zaciągnionemi przez ojców naszych, które powoli całém życiem spłacać musimy. Dla nas niéma więc dobrych uczynków, ale są tylko obowiązki! To co robimy dobrego, robimy z obowiązku!

Anna wpatrywała się rozjaśnioném okiem w twarz Jerzego, która w téj chwili

była bardzo piękną... Urok téj pięknéj duszy porywał ją i unosił roskosznie gdzieś wysoko ponad męty codziennego życia...

— Pan jesteś jak skąpiec zawistny o swoje skarby! — rzekła po chwili z lekkim kaprysikiem.

— Czy pani nie zna żadnéj średniéj drogi między skąpcem, który zakopuje skarby swoje do ziemi, a frymarczącym wekslarzem, który za oknem, ku ponęcie przechodniów rozsypuje na dużych misach złoto i srebro w sposób nader misterny, aby tylko wabiło?

— Pan masz zapewnie na myśli rozsądnego gospodarza, — żywo podjęła Anna, — który dorobkiem swoim mądrze gospodaruje na korzyść bliźnich swoich!

— Podaj mi pani rękę za tę dobrą myśl, — odparł Jerzy z wesołym uśmiechem, — ale tym razem nie mamy w gospodarowaniu na niwie narodowéj żadnéj zasługi. Gospodarują za nas i to dosyć korzystnie, nasi niefortunni, tak zwani „stróże porządku i bezpieczeństwa państwa.“

— Ach, ich gospodarstwo jest nader bolesne! — rzekła Anna i wskazała na parkan więzienny.

— Każda boleść jest tylko oznaką, że jest zdrowie w ciele, — odparł z płonącą twarzą Jerzy, — boleść jest znakiem, że zdrowie wraca. Gdybyśmy nie boleli, bylibyśmy trupem!.. ale tak zwani „stróże porządku“ pracują teraz za nas, pracują, aby ta boleść nasza sowite wydała owoce!..

I zatarł ręce, jakby z nadmiaru radości. W téj chwili nie widać nawet było, że był garbaty.

— Nie uwierzysz pani, co oni robią. Zdaje się, że Opatrzność prowadzi ich sama tam, gdzie my zdążyć chcemy... Biedny więzień umarł... komuś przyśniło się, że chcemy więźnia z grobu wykopać... tracąc ze strachu głowy, stawiają żołnierza z bronią na grobie nieboszczyka, profanują cichy przybytek umarłych...

— Słyszałam o tém dziwne rzeczy, — odrzekła z zajęciem Anna.

— Gmin miejski spał dotąd i byłby

spał może długo, bardzo długo, ale oni sami zbudzili go! Byłem na przedmieściach, mięszałem się do różnych kupek, które tam stały i pocichu rozmawiały, i słyszałem tyle pocieszająсczch rzeczy, że mi serce skakało z radości!.. Żołnierz na grobie nieboszczyka z bronią nabitą, cmentarz, krzyże i drzewa umarłych, wszystko to daje temat do rozmowy, która propaguje daleko skuteczniéj naszą ideę między gminem, niżeli stu emisarjuszów, za którymi uganiają się jak drudzy Donkiszoci, płatni na dnie komisarze i inni wysłannicy urzędowi! A duch Polski chodzi tymczasem swobodnie po przedmieściach stolicy, puka do okien biednych krupiarzy i woła: patrz, oto straż na grobie... a straż na grobie, to obraz zmartwychwstania!..

Anna patrzała teraz w zachwyceniu w mówiącego. Piękna, szlachetna dusza wyszła teraz z téj twarzy, z tego ciała ułomnego i stanęła w całym blasku przed jéj oczyma.

— Tak piękną duszę można kochać i

szaleć za nią! — pomyślała sobie rozkosznie Anna, ale w téj chwili stanął przed nią nieznajomy, który w drugim pokoju z ojcem rozmawiał, i wziął w siebie duszę Jerzego....

Jerzy wzdrygnął się, bo w drugim pokoju nagle drzwi skrzypnęły. Spojrzał w tę stronę, i ujrzał idącego ku sobie ojca Anny, z twarzą wesoło rozpromienioną.

Ojciec Anny przywitał serdecznie Jerzego. Do córki także uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Każ Anusiu dać wieczerzę, bo jestem strasznie głodny. Miałem dzisiaj tyle interesów...

— Czy każe ojczulko?.. — zaczęła zapytanie Anna i dokończyła rumieńcem na twarzy.

— Na trzy osoby tylko każ nakryć, — odparł ojciec, który zrozumiał to zapytanie niezupełne.

Cień smutku przeleciał po twarzy Anny. Szybko wyszła do kuchni.

X.

Zostawiwszy znajomych naszych przy wieczerzy, a nieznajomego na nieznajomych drogach jego, wróćmy się do przeszłości Jerzego, która nas może przejedna z jego nieszczęśliwém kalectwem.

Jerzy był najmłodszym z trzech synów unickiego księdza. Nie było jeszcze wtedy w Galicji osobnéj ruskiéj narodowości, w znaczeniu polityczném. Rusin lubił wtedy także swój język, swój obyczaj, swoją cerkiew, ale kiedy chciał spojrzéć w górującą nad to wszystko gwiazdę, to widział przed sobą — Polskę, wspólną matkę!

I nic naturalniejszego. Kilkowieczne dzieje Polski, to były także jego dzieje. Połowę kart świetnych zapisał tam rusin

swojém słowiańskiém pismem i językiem. Uskładane tam przez długie wieki wspólnéj pracy skarby, należały w połowie do niego. Miałże teraz wyrzec się wspólności tego spadku? Miał cofnąć się od roli, wspólnym krwawym potem sprawionéj, cofnąć się na jakieś pustkowie, gdzie żadnéj żywéj wegetacji nie było, a gdzie go tylko podstępna złośliwość uwodziciela zaprowadzić mogła? Rusin pozostał wtedy przy prawie do wspólnego spadku!

To téż trzem synom biednego unickiego księdza ani na myśl nie przyszło, aby kiedykolwiek osobne od swoich braci zakładali gospodarstwo, aby poza Polską szukali szczęścia dla swoich snów patrjotycznych...

Historja jasno powiada, że ten naród ma tylko prawo do przyszłości, który do téj przyszłości niesie z sobą fundusz w przeszłości uzbierany. Bez tego funduszu są tylko mrzonki i uroszczenia ras pojedynczych, niedoszłych, a cechą ich nieżywotności jest właśnie — niełączność.

Czy lepszym, czy mędrszym był rusin

w owych czasach, że się nie pozbywał funduszu wspólnie przez tyle wieków z Polską zarobionego? Czy święta idea narodowości, jaśniejąca w koronie cierniowéj, nie była wówczas jeszcze dojrzałą do — frymarki? Czy jeszcze nie było zalotników, którzyby ją sprowadzili z drogi cnoty i prawdy?

Gdy z Warszawy późną jesienią nadeszła pierwsza wiadomość o powstaniu, zastała trzech synów unickiego księdza, zdążających już sporym krokiem do ostatecznego celu życia. Najstarszy był na trzecim roku teologji, drugi o rok niżéj, nosił już tę samą czarną, co brat jego sukienkę, a najmłodszy Jerzy uporał się już właśnie z filozofją i dumał nad rozstajnemi drogami żywota, czy zostać prawnikiem, czy także kapłanem.

Trzeba znać całą nędzę i biédę unickiego proboszcza, trzeba widzieć to życie jego w téj strzechą słomianą pokrytéj, napół opustoszałéj plebanji, które od wygłaszanych, najszczytniejszych prawd ewangelicznych zniżać się musi do najgrubszéj

prozy zajęć i prac domowych, aby na jutrzejszy kawałek chleba zarobić, trzeba wreszcie widzieć tę twarz wynędzniałą, głowę wyłysiałą od trosk i umartwień i całą zaniedbaną postać tego nieszczęśliwego pielgrzyma i krzewiciela słowa bożego: aby pojąć jego szczęście i rozkosz na widok dorastających synów, na których już nietylko krwawo pracować nie potrzebuje, ale którzy dobiwszy do portu, mogą jemu na stare lata podać dłoń pomocy i ubogiéj rodzinie dać u siebie litościwy przytułek.

To też widać było na twarzy sędziwego księdza Dymitra, że się już w troskach swoich uspokoił, że spokojnie patrzy w przyszłość dzieci, która była pogodnym końcem jego żywota. Patrząc czasami w duchu poza siebie, dziwił się biédny kapłan sam sobie, jak siły jego mogły wystarczyć, aby trzem synom dać taką edukację i taką przyszłość! I rozkoszał wtedy jak bohater po szczęśliwym boju, przypominając sobie chwile niebezpieczeństwa, które pokonał szczęśliwie. Z uśmiechem

przygłaskiwał białe włosy swoje, i cieszył się, że kiedyś będzie komuś tę białowłosą głowę złożyć uczciwie do grobu, a może nawet i zapłakać nad nią... Biédny kapłan!

Kiedy wiadomość o powstaniu w Warszawie nadeszła, zwołał najstarszy brat dwóch młodszych braci do celi swojéj, z któréj za rok miał wyjść bożym kapłanem i rzekł do nich:

— Słowo i krzyż jest wielką bronią przeciw złemu, ale gdy naród za miecz chwyta, to trzeba iść razem z nim... Czy się zgadzacie razem ze mną?

Wszyscy trzéj zgodzili się. Najmłodszy tylko Jerzy gniewał się, że go brat uprzedził, że on z tą myślą już się nosił, tylko nie był pewny, czy bracia na to przystaną...

Za kilka dni złożyli dwaj starsi bracia czarne sukienki, wzięli na siebie stare, wytarte surduty, które im Jerzy gdzieś u kolegów wyżebrał, i z kawałkiem suchego chleba w kieszeni ruszyli wszyscy trzej pieszo zmrokiem ku granicy. A nie szli

oni tam na biesiadę z szampanem, ale szli prawdopodobnie — aby zginąć.

I dopięli w części tego celu. Najstarszy zginął pod Ostrołęką, brat jego na okopach Warszawy, a Jerzy śmiertelnie raniony, skłuty i stratowany, dostał się do lazaretu.

W lazarecie zeszyto mu pierś kulą przedziurawioną, wyjęto z prawego boku pół żebra złamanego, i po kilku miesiącach wypuszczono na świat — kaleką. Wyjęcie żebra skrzywiło mu pacierz, pochyliło prawe ramię wraz z łopatką i zrobiło go — garbatym.

Takim wrócił Jerzy do strzechą pokrytéj plebanji, ale starego plebana już nie zastał. Przeniósł się biedny kapłan na inne mieszkanie, gdzie mu lepiéj i spokojniéj było. Miał nad sobą polne kwiatki, małą brzózkę i krzyż czarny, postawiony kosztem gromady, na którym ze wschodem słońca świegotały mu ptaki, a po zachodzie śpiewał mu do snu konik polny.

Jerzy ukląkł przy tym krzyżu, zapła-

kał, ucałował ziemię, która w kwiaty ubrała grób ojca, ale sumienie nie czyniło mu żadnego wyrzutu. Miał mocne przekonanie, że wypełnił swój obowiązek i wierzył, że ojciec w grobie nie gniewa się na niego. Cóż bowiem temu winien, że serce człowieka jest tak słabe, iż pęka przy wielkim smutku?..

Odszedł spokojny od grobu ojca, odszedł takim samym, jakim był, gdy szedł do Warszawy. Ta sama myśl, z którą szedł do walki, została w jego duszy, i potrzeba było gdzieindziéj szukać dla niéj pola.

I znowu jak ongi, o suchym kawałku chleba przyszedł do Lwowa. Tu w ognisku kraju chciał się rozpatrzyć i zaczerpnąć powietrza do nowéj pracy. Nie chodziło mu o chleb powszedni, nie chodziło mu o zdobycie jakiego wygodnego stanowiska w hierarchji towarzyskiéj. On nic nie pragnął dla siebie, nic nie widział, tylko tę myśl, która go wiodła za Wisłę, a która teraz świeciła gwiazdą nad jego głową!..

Lwów był wtedy podobny do budzące-

go się człowieka. Otwierał powoli oczy i znowu zamykał, bo światło dzienne raziło je. Jeszcze snuły się przed nim ostatki snów przyjemnych, jeszcze odzywały się echem ostatnie buletyny z pod Warszawy. Wszystko to jednak należało już do snu, który minął, a potrzeba się było ostatecznie zbudzić i wstać do dziennéj, twardéj pracy...

Przebudzenie to jednak galicyjskiéj stolicy było dziwne. Skutki walki za Wisłą były widoczne. Kraina podkarpacka przypominała sobie, że wspólna dusza łączy ją z krainą poza kordonem. Przypomniała sobie, że i na niéj ciążą pewne obowiązki, że razem z mieszkańcami po tamtéj stronie Wisły trzeba czuć i dla przyszłości razem pracować.

Przyczynili się także do tego rozbudzenia rozbitki walczącego wojska polskiego, którzy na ziemi galicyjskiéj, po dworach i miastach znaleźli gościnne przyjęcie. A skutki téj gościnności były tém większe, że się z nią ukrywać potrzeba było. Wielu mieszkańców dopiero od

tych rozbitków dowiadywało się, że po tamtéj stronie Wisły mieszkają bracia rodzeni, że o nich pamiętać trzeba.

Świeżo do życia narodowego przebudzeni ludzie nie mogli zrazu jasno widzieć. Przesuwały im się przed oczy różne majaki, widma, fatamorgana, po które skwapliwie wyciągano ręce.

Niektórzy z rozbitków przynieśli z sobą także coś, co połuchem zasłyszeli, a resztę sami sobie fantazją uzupełnili. Powstał ztąd dziwny zamęt w młodych głowach, a historja z owych czasów, ktoby ją do gruntu chciał zbadać, byłaby nader ciekawa i zajmująca.

Na zachodzie świeciła jeszcze jasno niby tajna instytucja „wolnych mularzy," a z Włoch północnych zawiała z całą swoją poezją, cudotworna pieśń „węglarzy." Ta ostatnia mianowicie zmartwiła mocno niektórych mężów stanu, którzy Włochy nazwali tylko wyrazem geograficznym! Dziwne rozchodziły się wieści o podziemiach Spilbergu, gdzie trzymano straszliwych karbonarjuszów, a chociaż już dłu-

gie lata nad ich żywym grobem przeminęły, sama wieść o potędze tajemniczéj falangi dobiegała dopiero pojedynczych mieszkańców w Galicji, i tworzyła w ich wyobraźni najdziwaczniejsze marzenia.

Tajemniczość, to kołyska wielkich rzeczy. Jeżeli rządy jakiéjś myśli lub pragnieniu społeczeństwa kryć się każą, to jest już rzeczą pewną, że ta myśl i to pragnienie świetne odniosą zwycięztwo. Z podziemnych katakumb wyszło i świat zwyciężyło chrześćjaństwo, z piwnic kirem okitych, w których zasiadał w maskach sąd femiczny, wyszły sądy przysięgłych!

Nie dziwić się więc, że instynktem wierzą ludzie w potęgi tajemnicze, ukryte przed dzienném światłem, a wiara ta dochodzi wysokiego stopnia tam, gdzie rzeczywistość zdaje się być nieprzełamana.

Przebudzeni w kraju niektórzy ludzie pragnęli gorąco odbudowania ojczyzny, ale przeszkody rzeczywiste były tak wielkie, że na nie nie miano sposobu. Trzy mocarstwa potężne trzymały żelazną rę-

kę na każdéj z trzech części ziemi polskiéj, a nie było nadziei, aby ta ręka sama się usunęła. Wierzyć jednak w przyszłość potrzeba było, bo ta wiara była warunkiem życia narodu. Ale czemże tę wiarę podtrzymywać?

Uznano potrzebę jakiéj tajemniczéj potęgi. Najprzód zwrócono się do falangi „wolnych mularzy,“ która to falanga w młodych głowach zupełnie inną postać przybrała, aniżeli miała w rzeczywistości.

Domyśliwano się jakichś miljonowych zastępów, które w „ložach“ swoich kreślą przyszłe karty Europy i konstytucje pojedynczych narodów. Wierzono, że ku temu są wszelkie środki i siły....

Był we Lwowie podówczas człowiek, który własnym pomysłem i na własną rękę chciał do téj falangi nawiązać ogniwo w krainie podkarpackiéj, aby tym sposobem, jak drugi Archimed, dźwignąć całą ziemię polską. W gorącéj wyobraźni swojéj uzupełnił sobie organizację i charakterystykę tych „lóż“ tajemniczych w spo-

sób nader fantastyczny, i postanowił coś podobnego w kraju utworzyć.

W tym celu najął w odludnéj stronie miasta jakąś piwnicę w domu napół zapadłym, i wystroił ją wewnątrz wszystkiém tém, co w sposób nadzwyczajny działa na wyobraźnię. Były tam trupie kości i szkielety, były miecze i puginały, był stół czarném suknem nakryty, z czarną leżącą na nim księgą.

Trzeba wiedzieć, że to nie była fantazja bogatego człowieka, który czémś chciał sobie zapełnić wygodne próżnowanie; ale było to dzieło nader ubogiego człowieka, który o suchym kawałku chleba pracował, aby tu myśl swoją do skutku doprowadzić. Było to może dziwactwem niedorzeczném, ale charakteryzuje zawsze czas i ludzi, i pozwala nam wejrzeć w ich serca, w których nadewszystko górowała tęsknota za utraconą ojczyzną i tworzyła do jéj odbudowania najdziwaczniejsze pomysły!...

Człowiek ów ubogi sprzedał wszystko, co miał; sprzedał zbytnią odzież i buty,

aby tę tajemniczą piwnicę według swojéj fantazji udekorować i zrobić z niéj — jak się wyrażał — świątynię przyszłości narodowéj!

Wyuczywszy się niektórych znaków wolnomularskich i dodawszy do tego inne, własnego wynalazku, chodził po ulicach miasta i kreślił je przed tym lub owym przechodzącym, chcąc się dowiedzieć, czy jest „krewnym.“ Jeżeli podejrzenie padło na przechodnia, że znaki mógł rozumieć, lub w duchu — jeśli nie w rzeczywistości — był „pokrewnym,“ wtedy wydarzało się, że ów „pokrewny“ o szaréj godzinie otrzymywał bezimienne zawezwanie, aby się w pewném odludném miejscu stawił. Tam zazwyczaj spotykał zamkniętą szczelnie dorożkę, do któréj zapraszał go jakiś zakapturzony człowiek i w imię wielkiego mistrza tajnego bractwa zawiązywał mu oczy, jak tylko można było najskrupulatniéj. „Pokrewny“ nie miał wyboru i poddawał się zwykle operacji.

Po półgodzinnéj jeździe w różne zygzaki stawała doróżka, a zakapturzony woźny

tajnego bractwa sprowadził „pokrewnego“ do głębokiéj, wilgotnéj piwnicy. „Pokrewny“ musiał iść z oczami zawiązanemi.

W piwnicy odczytano mu jakieś pismo w słowach dosyć szerokich, niczém bliżéj nieokreślonych. Było tam o złém i o dobrém, o szatanie i aniołach i o potrzebie walczenia przeciw wrogom dobrego...

„Pokrewny“ musiał okazać charakter stały i nieulękły. Przedstawiano mu, że za sprawę bractwa ludzi musiał cierpieć straszne rzeczy, więzienia i tortury... i wtedy zdejmowano mu nagle przepaskę. Jeżeli na widok tego, co widział, nie drgnął, jeśli nie objawił żadnéj trwogi, otrzymywał od zakapturzonego towarzysza pocałunek na prawy policzek i z zawiązanemi oczyma wychodził z piwnicy jako adept wielkiéj, ale tajemniczéj myśli!

Wypuszczony po niejakim czasie z dorożki adept przecierał oczy nie wiedząc, czy to wszystko widział we śnie, czy na jawie. Bądź co bądź, poczuwał się jednak od téj chwili, że coś cięży na nim, że przyobiecał posłuszeństwo jakiéjś wyższéj,

lepszéj myśli, i że odtąd w życiu swojém powinien nieustannie szukać jéj i służyć. Być może, że to był ostateczny cel właściciela piwnicy tajemniczéj. Chciał on ludzi natchnąć wiarą w jakąś potęgę tajemniczą, która w dobrych ich zamysłach dopomagać im będzie. Chciał obudzić ospałych i zatrwożyć ich groźbą żądania kiedyś rachunku, dlaczego nie czuwali? Śród twardych granitów, jakiemi święte przymierze otoczyło „wieczyste“ posiadłości swoje, chciał wskazać leżących pod granitem tajnych robotników, którzy utajoną pracą swoją mieli kiedyś rozburzyć to dzieło fizycznéj przemocy.... Był on może niejako poprzednikiem późniejszego Towiańskiego, z tą tylko różnicą, że tamten budził ludzi znakami czarnoksięzkiemi, pokazując im w mglistéj perspektywie pracujących robotników w ziemskich ciałach, a ten kazał im tylko patrzyć ziemską źrenicą — w świat duchów! Jednak jeden i drugi charakteryzuje dziwną, niezachwianą wiarę... Tego człowieka poznał Jerzy dziwnym sposobem.

XI.

W pierwszych dniach swego pobytu we Lwowie był Jerzy biedny, bardzo biedny. Ubiór jego był podobny do ubioru włóczęgi, tylko piękny, rozumny wyraz twarzy ratował go od żylastéj ręki pierwszego lepszego policjanta. W odludnéj stronie miasta najął sobie na poddaszu małą izdebkę, a niemając jéj czém umeblować, postawił na środku starą pakę, a w kącie rzucił ze słomą zgrzebny siennik, który mu w nocy służył za łóżko, a we dnie za otomanę rozkoszną.

Postanowił najprzód wyszukać sobie u przedmieszczan kilka lekcji, a potém skreślić sobie program nowego życia, któreby było kontynuacją téj saméj myśli prze-

wodniéj, wiodącéj go dawniéj do Warszawy a dziś świecącéj nad nim gwiazdą jasną i jedyną! Ale pod tą gwiazdą było jednak głodno i chłodno...

Dwa dni już nic nie jadł. Trzeciego dnia przyszedłszy do izdebki, zastał na pace kawałek sera i chleba. Zrazu myślał, że stróż domu, widząc jego ubóstwo, położył tam tę jałmużnę... Wziął chleb do ręki, zwilżył go łzami, i zjadł z niewysłowionym apetytem do ostatniéj okruszki.

Wieczorem uczuł straszliwy ból wewnątrz. Przyszły mu do głowy jakieś dzikie domysły. Zawołał stróża.

— Czy wy Szymonie położyliście tutaj kawałek chleba z sérem? — zapytał wchodzącego.

— Nie panie, — odparł stróż, — to jakiś pan nieznajomy tam położył, gdym izdebkę zamiatał!

— Jakiś pan?.. — powtórzył zdziwiony Jerzy, — cóżby to był za pan? Czy mówił co?

— Nic nie mówił, — rzekł stróż, — tylko położył i zaraz prędko wyszedł.

Jerzy zamyślił się nad tém dziwném zdarzeniem. Zrazu przyszło mu do głowy, czy ten chleb nie był zatruty. Ból wewnętrzny rozbudził tę myśl, chociaż daleko bliższém było prawdopodobieństwo, że ten ból pochodził od dwudniowego postu. Sam Jerzy zapomniał już o tém, że dwa dni nic nie jadł. A wytężając teraz cały swój umysł nad odgadnieniem tego nieznajomego człowieka, zapomniał także i o bólu wewnętrznym, o możliwych skutkach trucizny i czuł się zupełnie zdrowym. Na drugi dzień pojawił się znowu chleb z serem na pace. Zapytany stróż odpowiedział, że to zapewnie jakiś pan dobroczynny, który nie chce, aby o nim wiedziano.

Jerzy nie tknął się teraz tego chleba ani sera. Nazajutrz wychodząc z domu, położył koło sera z chlebem papier, na którym napisał: „Chleb ten nie będzie spożyty, póki się nie dowiem, z jakiego źródła pochodzi.“

Gdy Jerzy do domu wrócił, ujrzał obok chleba drugi kawałek, a na kartce stało napisane:

— Chléb ten pochodzi z „tajnego funduszu.“

Jerzy przeczytał te słowa kilka razy i długi czas nie mógł przyjść do siebie. Wiedział on dobrze, co znaczą te straszne dwa słowa „tajny fundusz!“ Wiedział, że takim funduszem rozporządzają ministrowie i naczelnicy policji. Wzdrygnął się, jakby nagle ujrzał gniazdo jaszczurcze. Cofnął się do progu, aby jak najdaléj być tego chleba...

W téj chwili zaskomlił pode drzwiami dobrze mu znany pieś stróża. Jerzemu przyszła jakaś myśl do głowy.

— Bosy! — zawołał otwierając drzwi, — Bosy, chodź tu, chodź! Tam — pif!

I wskazał na chleb z serem. Bosy sparł się łapami na pakę, machnął kilka razy zamaszyście ogonem, obwąchał chleb i ser z wszystkich stron i powoli, jakby zawstydzony zsunął się z paki na ziemię.

Dlaczego Bosy chleba nie tknął, trudno wiedzieć. Być może, że tego dnia nie był przy zdrowiu, a być może, że przyszedł po jakiéj sutéj biesiadzie, wy-

prawionéj poza rogatkami miasta. Dosyć, że ani chleba, ani sera jeść nie chciał.

Twarz Jerzego poczerwieniała. Ścisnął pięści aż posiniały, podniósł je groźnie do nieba i zawołał:

— Oto pies nie chce jeść takiego chleba, a przecież są ludzie, którzy jedzą i piją z tajnego funduszu i tuczą się!..

I nim jeszcze pomyśleć zdołał, co z tym chlebem uczynić i jakim sposobem dowiedzieć się o swoim wspaniałomyślnym jałmużniku, otworzyły się zwolna drzwi, a jakiś nieznajomy człowiek stanął przed nim.

Nieznajomy miał na sobie płaszcz wyszarzany, włosy długie, twarz mocno wyrazistą. Zamiast wszelkiego przywitania odwinął poły płaszcza, wysunął zpod niego wychudłą rękę, w któréj trzymał kij sękaty. Tym kijem zakreślił najprzód przed zdumiałym Jerzym szerokie koło, potém w tém kole nakreślił regularny trójkąt, dodawszy po bokach dwa trapezy. Wreszcie podniósł dumnie głowę i spojrzał w oczy Jerzego.

— Kto jesteś, człowieku? — zawołał Jerzy i cofnął się o dwa kroki z obawy, że widzi obłąkanego.

Nieznajomy wytrzymał go chwil kilka bez odpowiedzi, poczém ozwał się:

— Pyłkiem prochu jestem również jak ty, ale miljony takich pyłków tworzą całą ziemię! Jestem więc jednym z miljonów, które razem wzięte stanowią potęgę, któréj piekła nie przemogą!..

Jerzy patrzał w zadziwieniu na nieznajomego i nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nieznajomy mówił daléj:

— Chceszli więc być owym, bezpłodnym, odosobnionym pyłkiem, którym wiatr pomiata, czy chcesz przystygnąć nazawsze do miljonów, które są narzędziem Boga, aby przeciw złemu walczyć!

— Czy ty przyniosłeś ten chleb? — zapytał Jerzy.

— Ten chleb przysłały ci miljony! — odparł nieznajomy, — przysłały ci skąpo, bo muszą wielu dawać. Ten dar skąpy niech cię nie dziwi. Bóg także wszystkim żywiołom daje skąpo. Roślina dostaje

z jego ręki zaledwie kroplę rosy, kraj cały kilka promieni słońca, a przecież nie szemrzą, że mało!..

— Zkąd wziąłeś ten chléb, i poco go tu położyłeś? — po niejakiéj chwili zapytał Jerzy.

— Ten chléb pochodzi „z tajnego funduszu“ — odparł nieznajomy spokojnie.

— Z „tajnego funduszu“ żyją tylko szpiegi i ludzie przewrotni!

— Walcząca ludzkość ma także swój „tajny fundusz,“ którym walczy przeciw złemu

— Z czegóż się składa ten „tajny fundusz?“

— Opowiem ci późniéj; do widzenia, wieczorem koło okopiska na Żółkiewskiém!

Jerzy jeszcze myślał nad ostatniemi słowami nieznajomego, który o „tajnym funduszu“ ludzkości tak dziwnie się wyraził, gdy skrzypnięcie drzwi obudziło go z zamyślenia. Spojrzał około siebie, nieznajomego już nie było w izdebce.

Było coś dziwacznego w całéj postaci i w mowie nieznajomego, lecz było także kilka iskierek światła, które jasno-brylan-

towym ognikiem w jego zagadkowych słowach świeciły. Jakkolwiek Jerzy dość trzeźwo zapatrywał się na świat otaczający, w punkcie jednak swojéj wiary patrjotycznéj sięgał granic mistycyzmu, który zazwyczaj tam się zaczyna, gdzie wrzące uczucie napotyka lodowatą, nieprzebitą rzeczywistość. Przynajmniéj nie odpychał od siebie wiary, że duch zwalczonego narodu gdzieś się utaił i tam dalsze prace swoje rozpoczął. Pod jaką formą, pod jaką postacią, tego nie wiedział.

Dziwaczny nieznajomy wydawał mu się jako jeden z tych, którzy o dalszych pracach ducha narodowego coś wiedzieć mogli. Było wprawdzie niebezpieczeństwo, że to mogą być psoty jakich złych ludzi, ale Jerzy nie miał nic do stracenia. Postanowił tylko iść daléj z nadzwyczajną ostrożnością.

I stało się z nim to wszystko, co się działo z każdym „pokrewnym.“ Wśród nocy koło okopiska zawiązał mu ktoś oczy, prowadził go czas niejaki różnemi zaułkami, a wśród uroczystéj przemowy ujrzał

nagle tajemniczą piwnicę w całéj, groźnéj okazałości.

Jerzy okazał niepospolitą odwagę i został za to przez nieznajomego pasowany na starszego.

Odtąd śmiały adept przywiązał się do swego mistrza. Przywiązanie to było tak szczere i gorące, że w krótkim czasie zacny augur zaczął coraz więcéj tracić na powadze u swego ucznia. Nietylko bowiem wykradł mu mały zapas jego mysterjów, ale coraz śmielszemi pytaniami tak go zmęczył, że wielki mistrz zaczął sam o sobie powątpiewać.

Razu jednego, w jakiéjś słabszéj chwili opowiadał mu mistrz, że sprawa polska po upadku powstania zapisaną została w wielką księgę tajnych bractw Europy, które wytknęły sobie wielki cel umoralnienia całéj ludzkości. Mają one w rękach potężne środki, któremi działają na monarchów w płaszczach złotolitych i na takich drobnych nędzarzy, jakim był Jerzy, gdy mu chleb i kawałek sera na pace położono. A cały olbrzymi zasób tych środ-

ków niewyczerpanych nazywa się „tajny fundusz“ bractwa.

Długo myślał Jerzy nad tym „tajnym funduszem.“ Myśl ta była piękna i wzniosła, chociaż niemniéj fantastyczna, zakrawająca na owe skarby z „Tysiąca i jednéj nocy.“ W owym jednak czasie, gdzie wszystko musiało się kryć przed argusowém okiem policji, gdzie nawet myśli i marzenia ścigano ostremi karami, tworzyła wyobraźnia ludzka najdziwaczniejsze światy tajemnicze, które gdzieś daleko znajdować się miały.

To też i widmo tajemnego bractwa, które nad skargami Europy ma gdzieś czuwać, znajdowało przystęp do głów gorętszych. A ponieważ od niejakiego czasu snuły się wieści o „wolnych mularzach,“ do których nawet królowie należeli, i o świeżo powstałych „karbonarjuszach,“ nawiązywano więc do tych tajnych instytucji słabe przęsło robót narodowych.

Ludzie młodzi a gorącego serca najchciwiéj chwytali za tę dziwną fantasmagorję. Wierzono w nią jakby w pismo

święte i opierano się na niéj we wszystkich planach przyszłości.

Jerzy był także zrazu pod tym wpływem. Ponieważ jednak trzeźwy umysł jego chciał wszystkiego się dotknąć i wszystko do gruntu zbadać, nie dawał więc spokoju swemu mistrzowi i ustawicznie napierał na niego, aby mu powiedział, gdzie właściwie jest główna siedziba tego tajnego bractwa i gdzie prawdopodobnie może się ukrywać ów „tajny fundusz,“ za pomocą którego ludzkość ma sobie wywalczyć lepszą przyszłość. Pytanie to powtarzał mistrzowi codziennie.

Wreszcie zmuszony był mistrz do przemówienia. Powiedział Jerzemu pod sekretem, że główny mistrz tego tajnego bractwa wraz z „tajnym funduszem“ ma zamieszkiwać ostateczny cypel Europy w Szwecji czy Norwegji. O jego radzie przybocznéj podał mu jeszcze kilka szczegółów.

Jerzy myślał o tym cyplu Europy kilka dni. Czwartego dnia wziął kilka groszy do

kieszeni a kij do ręki, i wyszedł poza rogatki miasta.

Za pół roku wrócił blady, wynędzniały i odarty, o żebranym chlebie. Opowiadał potém swoim znajomym, że przeszedł wzdłuż i wszerz całą Skandynawję, drapał się na ostatnie skaliste cyple stałego lądu Europy, zaglądał we wszystkie znaczniejsze tam pieczary, ale nigdzie nie znalazł ani mistrza wszechwładnego bractwa, przed którym chciał własnoręcznie złożyć skargę narodu polskiego, ani owego „tajnego funduszu“ nie wytropił, który ma władać królami i narodami!..

Ale przecież coś znalazł, bo na bladéj twarzy jego malowało się widoczne zadowolenie.

Chciał zapewne tém, co znalazł, podzielić się z dawnym mistrzem swoim, ale mistrza ani piwnicy już nie znalazł. W piwnicy zastał jakiegoś tandetnika, który tam różne stare graty lokował, a o mistrzu powiedziano mu, że mieszka u oo. karmelitów pod numerem 8 na dole.

Jakoż w jednym z następnych dni, prze-

chodząc koło więzienia usłyszał z głębi ziemi wydobywający się głos znajomy i znaną pieśń karbonarjuszów:

„..„Podobni do martwych węgli
Byliśmy długo nękani,
W ohydne jarzmo nas sprzęgli
Cudzoziemcy i tyrani...“

Jerzy miał teraz oczywisty dowód, że mistrz jego jest za kratą. Nie mając więc przed nikim okazać tego co znalazł, zamknął to w sobie i odszedł na swoje poddasze, aby dalszy program swego życia nakreślić. A celem tego nowego programu była mu ta sama myśl, która go wiodła ongi do Warszawy!..

I odtąd dziwnie się uspokoił. Z marzyciela i roztargnionego entuzjasty stał się człowiekiem twardéj pracy. Z okresu fantastycznego jego życia zostało tylko kilka piosnek, które w ruskim języku ułożył i między lud puścił. Piosnki te obiecywały ludowi lepszą przyszłość i mówiły mu wiele o jego wrogach.

Na tém zamknął Jerzy poetyczny swój zawód. Wyszukał sobie kilka lekcji, a re-

sztę czasu poświęcał przepisywaniu całych tomów różnych dzieł naukowéj treści i wyborowéj poezji. Były dnie, w których po piętnaście godzin siedział przy stoliku i pisał. Przepisywał, bo drukowanych książek nie miał za co kupić.

Przepisane starannie książki roznosił między młodzież, aby takowe czytała. Zachęcał, prosił, karcił i w wymownych wyrazach zachęcał do wzbogacania umysłu. W letnich miesiącach brał kij do ręki, i obiegał miasta obwodowe, gromadząc w koło siebie młodzież i rozdając przepisane przez siebie książki. Całego Mickiewicza przepisał kilkanaście razy i porozdawał młodzieży miast obwodowych. Z rozdanych książek kazał sobie zdawać ścisły rachunek, a nawet odbywał rodzaj egzaminów z ich treści. Do téj pracy zachęcał młodzież w imię miłości ojczyzny.

Bajeczną była praca tego człowieka. Żył kawałkiem suchego chleba. O spokojniejszéj przyszłości swojéj nie pomyślał ani razu. Uczucie patrjotyzmu stanowiło i trawiło całe życie jego.

To téż dziwnie wyglądał śród żyjącego świata. Przez ludne ulice przemykał się jak cień wyszły z grobu. Włosy rozrzucone niedbale, ubiór zaniedbany i cała postać kalectwem i całodzienną pracą przy stoliku dziwnie połamana, uczyniły z niego oryginała, który dla obcych był zagadką.

Związków tajnych i spisków nie zawiązywał, bo był przekonania, że każdy spisek przy krewkości materjału naszego prowadzi zawsze do przedwczesnéj katastrofy. Sprzeciwiał się nawet organizacji tak zwanéj „partyzantki,“ twierdząc, że ta roślina z pod nieba hiszpańskiego nie wyda w kraju żadnego owocu. Podstawą bowiem gerylasówki w Hiszpanji był lud, w Polsce niebezpiecznie było na téj podstawie coś budować.

I kilka lat wiernie wytrwał przy téj pracy swojéj. Raz na tydzień zbierał młodzież u siebie i czytał jéj przez kilka godzin z grubéj, na ten cel osobno sporządzonéj księgi, któréj dał dziwny i zagadkowy napis: „Tajny fundusz.“

Dusza takiego człowieka musiała rzeczywiście być piękną i wzniosłą, a Anna przeczuła ją kobiecym instynktem, kiedy rzekła do siebie owego wieczora:

— Tę duszę można kochać i szaleć za nią!

Czy rzeczywiście kochała?

XII.

Dzień, w którym Jerzy z Anną i jéj ojcem wspólnie wieczerzał, był niejako dla wszystkich dniem wyjątkowym. Jerzy cieszył się z tego dnia, bo dzień ten przez niezręczność zarządzonych środków policyjnych wielką korzyść dla sprawy narodowéj przyniósł. Anny serce także radowało się jakiémś dziwném, tajemném uczuciem i marzyło o pięknym nieznajomym, który dzisiaj tak nagle się pojawił... a ojciec Anny był także w wybornym humorze i uśmiechał się z zadowoleniem do siebie.

Radość Skałobrodzkiego była dzisiaj rzeczywiście zasłużoną. Ranek bowiem zastał go jeszcze od dnia wczorajszego mo-

cno zafrasowanym. Czarne chmury wisiały nad jego głową. Jenerał dał mu wprawdzie spory rulon złota, ale za to złoto potrzeba było coś mu dać wzajem, nad czém właśnie nieszczęśliwy ajent łamał sobie głowę.

Tajna policja dyrektora i prezydenta oskrzydlała widocznie policję jenerała. Wynajdywała ona emigrantów, łapała niebezpiecznych włóczęgów, odkopywała broń i amunicję (przynajmniéj tak było w raportach), a drogo płacona policja jenerała nic nie mogła wytropić, ani nawet jednego nędznego emisarjusza uchwycić, jakich według raportów składanych arcyksięciu, były w kraju tysiące!

Skałobrodzki miał przed sobą dwie drogi. Albo podziękować jenerałowi za zaufanie, albo poprawić się. Zaufanie jenerała było intratne, a poprawa trudna, nader trudna. Zkądże bowiem wziąć materjał do raportów? Gdzie złowić zwierzynę, jeśli lasy i bory były puste?

Zaiste było to dla ajenta zadanie nader trudne. Mógł on tylko chodzić po miej-

scach publicznych, po szynkach i sklepach i tam nadsłuchiwać. We Francji, gdzie każda rewolucja zaczyna się i kończy w Paryżu, mógł Skałobrodzki bardzo łatwo wywiązać się z swego obowiązku. Ale Galicja nie koncentrowała się wtedy we Lwowie. Jeżeli były jakie żywioły niespokojne, to były rozrzucone po dworach, do których ajent tajnéj policji żadnego wstępu nie ma. Zkądże tu wziąć materjału?

Wprawdzie był Skałobrodzki z niektórymi obywatelami w stosunkach pieniężnych, ale ci byli zazwyczaj ludzie spokojniejszego ducha. Zresztą uwięzienie ich zagrażałoby kapitałom ajenta. Tutaj więc mimo najlepszych chęci nie mógł żadnego interesu robić.

Trudne było położenie ajenta. Myślał i myślał ale nic porządnego wymyślić nie mógł. Wprawdzie podrzędni jego towarzysze ratując swoją przyszłość, wymyślili coś przy szklance piwa „pod czerwonym rakiem,“ ale cóż on sam jeden mógł wymyślić?

Strapiony ajent chodził przez kilka go-

dzin po rynku miasta, ale żadna zbawienna myśl do głowy mu nie wpadła. Rulon złota w kieszeni przypominał mu się za każdym krokiem. Był to zadatek na coś, czego ani kupić, ani nawet zatargować nie mógł. Wreszcie chwycił się środka heroicznego, jakiego tylko w rzadkich okolicznościach życia używał — westchnął do Boga!

Prawdopodobnie Pan Bóg usłyszał to westchnienie i skierował kroki jego na ulicę Ruską.

Ulica Ruska, jakkolwiek z rynkiem w bezpośrednich stosunkach, nie odznacza się jednak czystością domów. Po obu stronach są sklepy żydowskie, a dalej ku końcowi wiszą rozmaite godła zapraszające na kieliszek wódki, szklankę miodu lub filiżankę odwaru z cykorji. Wszystko to brudne, niechlujne. Sień pełna śmieci, dziedziniec przedstawia piramidy gnoju.

Na jednych z tych drzwi był napis: poncz, kawa i bilard. Z tych drzwi ujrzał ajent wysuwającego się zwolna mło-

dego człowieka i rekognoskującego ostrożnie ulicę. Po chwili cofnął się do izby.

Młody ten człowiek zwrócił uwagę ajenta. Ubiorem i całą postacią zdawał się należéć do lepszego towarzystwa od tègo, jakie mógł mieć w téj zaułkowéj kawiarni żydowskiéj.

Ajent nie namyślał się ani chwili. Zwrócił się nagle i szparkim krokiem pobiegł na ulicę Ormjańską, gdzie miał osobny pokoik dla różnych swoich interesów. Tam zmieniwszy prędko ubiór swój na podlejszy, wcisnął czapkę na oczy i ulicą Dominikańską pośpieszył ku Ruskiéj.

Za chwilę był już w kawiarni. Była to izba pełna pary cuchnącéj. W ciemnych kątach siedziało kilku gości nader podejrzanéj postawy. Pod piecem przybijał jakiś lichwiarz targ z kapotowym jegomością, który jeszcze ofiarowanych pieniędzy wahał się przyjąć...

Młodego człowieka nie było. Ajent usiadł przy stoliku, na którym leżały kostki domina. Kazał sobie dać ponczu i zaczął się bawić kostkami.

Na szelest ten wychylił się z alkierza ten sam młody człowiek, którego był z ulicy widział. Patrzał czas niejaki na ajenta z uwagą. Potém zbliżył się do niego z całą swobodą i zapytał:

— Czy pan chcesz grać w domino? Lubię bardzo tę grę!

— Ja lubię także — odparł ajent, wpatrując się w młodego człowieka — ale ja grywam o pieniądze!

— A rozumie się — odparł z uśmiechem młody człowiek — inaczéj szkoda rękawy psuć!

Słowa te wymówił z tak dziwnym akcentem, jaki tylko cechować może ludzi oddanych grze zapamiętale. Jak smakosza poznać, gdy mówi o potrawach, tak gracz zdradzi się, mówiąc o grze.

Ajent uporządkował kostki i nieznacznie zaczął się przypatrywać nieznajomemu. I rzeczywiście, nieznajomy młody człowiek był wybornym egzemplarzem „policyjnego materjału.“

Patrząc na jego postać zewnętrzną, zdawało się, że natura wysiliła się stwarza-

jąc tego człowieka. Dała mu wzrost piękny, wysmukły, przypominający Apolina belwederskiego. Twarz jego ujmującą przyodziała wdziękiem niewysłowionym. Było coś dziwnie niewinnego w téj twarzy. Usta pełne słodkiego wyrazu, były ocienione lekkim zarostem. W jasnobłękitnych oczach drżały nieustannie niewykończone jeszcze ideały życia, jakie sobie dopiero tworzyć zaczął. Ruchy miał swobodne, zaokrąglone , jakie tylko mają ludzie żyjący bez żadnéj pracy. Barki jego nie pochyliły się ślęczeniem nad książkami, cała postać była gibka i elastyczna, podobna do postaci wolno po lasach biegającego jelenia.

Mimo to widać było w tym człowieku jakiś dziwny kontrast z tém, co w głębi duszy ukrywał. Czasami odbijało się to w spojrzeniu, czasami dziwny wyraz na twarzy, jakieś słowo nieoględne, jakiś ruch przypadkowy wskazywały, że pod tą udatną postacią mieszka jakiś duch niedobry, który rad przed światem się kryje.

Bliższe wpatrzenie się potwierdziło ten

domysł. Ubiór tego młodego człowieka był wykwintny, przeznaczony do czystych salonów. W brudnéj atmosferze szynku przybrał jednak znaczne defekty, które tém mniéj w oczy wpadały, im większe przedtém były jego pretensje. Piękna twarz Apolina była także znacznie poniewieraną, choć siła młodości walczyła nieustannie przeciw skutkom téj poniewierki. Oczy okrążone ciemną obwódką, zdradzały czasem ślady silnych przebytych namiętności i gorzały dzikiém pragnieniem nowych.

Wszystko to zauważył ajent. Im więcéj przypatrywał się nieznajomemu, tém więcéj utwierdzał się w przekonaniu, że to jest człowiek co najmniéj, podejrzanéj konduity.

— Partję gram zazwyczaj po reńskiemu! — rzekł ajent, kładąc na stół trzy srebrne pieniądze za przegraną.

Nieznajomy z gorączkowym gestem chwycił za pieniądze. Za chwilę ozwał się nader spokojnie:

— Daję panu rewanż, — i sięgnął po

kostki domina z taką swobodą, jakby grał o orzechy.

Ajent przegrał drugi i trzeci reński. Niby się gniewał i złościł. Nieznajomy, mimo ukrytéj gorączki, udawał po mistrzowsku spokojnego gracza, któremu wcale o pieniądze nie chodzi. Tylko skrzypienie drzwi wchodowych sprawiało na nim lekkie, przemijające wrażenie. Wnet jednak wracał do dawnego spokoju.

Czwarty i piąty reński poszedł za pierwszemi. Ajent wściekał się ze złości, a najbardziéj chodziło mu o to, że już nie ma czasu przed obiadem odegrać się. Przegranych pieniędzy widocznie żal mu było.

— To możemy daléj grać po obiedzie! — ozwał się spokojnie nieznajomy.

— A będziesz pan na mnie czekał?— zapytał z ukrytym niepokojem ajent.

— Czekać... czekać... — cedził zwolna nieznajomy; — będę czekać, ale zmienimy miejsce!

— Czy masz pan co przeciw téj zacisznéj izdebce? — pytał daléj ciekawie ajent.

— Widzisz pan, — odrzekł zwolna nieznajomy, — to wprawdzie dobre miejsce, ale... ale gdy człowiek kilka godzin gra, to zaraz zwraca oczy na siebie. Gdy chcę wypić dwa kieliszki wódki, lub gdy chcę zjeść naraz dwa bifsztyki, to nie czynię tego w jednym lokalu. Idę do dwóch cukierni i dwóch restauracji.

— Pan masz wyborny rozum! — odparł ajent z widoczném zadowolnieniem. — Gdzież się zejdziemy?

— U czarnéj Justyny „pod niewinnym barankiem,“ na Krakowskiém przedmieściu.

— Zgoda! Słowo honoru?

— Słowo honoru! — odparł nieznajomy i uśmiechnął się na poobiedną zdobycz z niezgrabnym graczem.

Uścisnąwszy rękę młodego człowieka, wybiegł ajent z szynku, a przebrawszy się w dawny swój ubiór, udał się najbliższą drogą do komisarza policji, który był jego poufnym przyjacielem, a którego czasami w braku innych źródeł, na swój rachunek wyzyskiwał.

— Czy nie masz pan pod ręką spisu

osób poszlakowanych i przez policję poszukiwanych? — zapytał komisarza zaraz na wstępie.

— Chcesz pan politycznych? — zapytał usłużny komisarz.

— Nie, pospolitych! — odparł ajent, — w rewirze pańskim przecież nie będę polował!

Komisarz z uśmiechem podał mu spory zeszyt, a sam wrócił do swego zatrudnienia.

Ajent z gorączkową ciekawością przewracał kartki osób poszlakowanych o różne przestępstwa i zbrodnie. Wszystko to jednak nie odpowiadało jego oczekiwaniom. Czytał także i powkładane druki pomiędzy te kartki. Były to listy gończe za zbiegłymi zbrodniarzami i takimi, których sąd powoływał.

Przy jednym z tych „gończych listów“ zatrzymał się ajent. Czoło jego pofałdowało się. Widać, że wiele ważnych myśli skupiło się teraz w jego głowie. Przeczytał kilka razy z wielką uwagą opis osoby i rzekł do komisarza:

— Czy znasz tego człowieka? — Ten egzemplarz jest bardzo ciekawy.

— Ba, — odparł z ironicznym uśmiechem komisarz — pytasz mnie pan o najpyszniejszego daniela, jakiego mam w moim rewirze, a za którym dzień i noc uganiam, a dostać go nie mogę!

— Możebym panu dopomógł — odpowiedział ajent, — ale opowiedz mi wprzódy o nim!

Komisarz spojrzał na ajenta okiem zazdrosnego myśliwego. Ajent jednak spokojnie przewracał kartki, jakby go sprawa ta bardzo mało obchodziła. Pogwizdywał sobie przy tém i bębnił palcami na stole.

— Widzisz pan — mówił zwolna komisarz, — to jest egzemplarz, który mi we dnie i w nocy spokoju nie daje. Ale jestem już na tropie. Wiem, że jest we Lwowie, tylko chowa się starannie po dziurach.

— Jakież jest jego *curriculum vitae*?

— Jest to potomek bardzo majętnéj niegdyś rodziny. Dziad hulał i stracił pra-

wie wszystko. Syn popadł w drugą ostateczność i grosz uratowany trzyma w pazurach prawdziwego skąpca. We wnuku odrodził się znowu dziad. Młody, przystojny chłopiec, stworzony widocznie do szczęścia, wyposażony niepospolitym sprytem, wstąpił w ślady dziada i nad bezmyślną hulatykę, nic innego w życiu nie widzi. Spadkobiercza ta żyłka zaprowadziła go na drogi, na których się spotkał z paragrafami kodeksu. Rozumié się, że szedł zwolna do tego. Przyczyniły się także i kobiety, które miały do niego słabość niezwykłą. Dosyć, że ten człowiek spadł dzisiaj tak nisko, że jest prostym zbrodniarzem i gotów wszystko zrobić. Ojciec płacił kilka razy za niego długi, wreszcie wyrzekł się go. Okradał go kilka razy, fałszował skrypta z jego podpisem, a nawet są poszlaki, że go chciał w nocy udusić. Popełnił kilka wyrafinowanych oszustw i przywłaszczył sobie podczas gry dosyć znaczną sumę swego sąsiada wraz z pugilaresem. Umiał nad-

zwyczaj sprytnie oszukać ajenta, który przyszedł aresztować go.

Ajent rozmawiał jeszcze niejaki czas z komisarzem o pysznym egzemplarzu z jego rewiru, kazał sobie dać drukowany list gończy i obiecał przyjacielowi swoją pomoc, jeżeliby takowa na co się przydała.

Na ulicy dopiero uczynił folgę wezbranemu sercu swemu. Zakręcił laską młynka, aż się żydzi przelękli, a żebrakowi, który mu w téj chwili drogę zaszedł, dał drobną srebrną monetę.

Długo chodził ajent po mieście i nad czémś głęboko przemyśliwał. Znajomi nie widzieli go dawno w tak dobrym humorze. Wszystkich zapraszał do cukierni i hojnie likworem traktował.

Po obiedzie, z pewną obawą pośpieszył „pod niewinnego baranka.“ Otworzywszy drzwi, zaparł oddech w piersiach i ciekawém okiem ogarnął izbę. Wnet jednak odetchnął, bo młody nieznajomy stał tuż przed nim.

Z gorączką odgrywającego się gracza siadł prędko ajent do gry, z udaną obo-

jętnością przyłączył się do niego młody człowiek. Gra rozpoczęła się ze zwykłemi, zmiennemi faworami fortuny.

W godzinę przegrał ajent dziesięć reńskich. Gniew jego był nie do opisania. Gryzł paznogcie i targał włosy.

— Napijmy się ponczyku — rzekł do młodego człowieka — fortuna dzisiaj odwróciła się odemnie.

— Kobiety lubią się upajać — odparł z uśmiechem młody człowiek — może przyjdzie do ponczu!

— Pan masz zapewne wielkie szczęście do kobiet! Upajałeś kiedy piękne kobiety?

Młody człowiek musnął ręką po twarzy i uśmiechnął się na znak, że to bardzo często mu się wydarzało.

— A powiedz mi pan, bo to jest charakterystyczne, jak pana pieszczotliwie w takim razie kobiety nazywały?

— Różnie — odparł z uśmiechem szczęśliwy zwycięzca — Zefirku, Zefinciu albo Firciu!

— Więc pan nazywasz się Zefir! — zapytał obojętnie ajent.

Młody człowiek spojrzał szybko na ajenta i pomilczał chwilę. Ajent tymczasem nie patrzył na niego, tylko z wielkiém zajęciem ustawiał na nowo tabliczki do gry.

— Więc zaczynaj panie Zefirze! — odparł z utajoną radością — masz zapewne dwie szóstki!

Nieznajomy nie zaprzeczył bynajmniéj temu imieniu i położył na stół podwójną szóstkę.

Tymczasem ściemniało na dworze. Kawiarnia napełniała się coraz więcéj. Ajent przegrał dwadzieścia reńskich.

W téj chwili otworzyły się drzwi, a do kawiarni wszedł rewizor policji. Straż została przy progu.

Rewizor zbliżył się wprost do młodego człowieka. Całe zgromadzenie uciszyło się nagle.

— Aresztuję pana — rzekł do młodego człowieka rewizor.

Młody człowiek zbladł zrazu i zadrżał mimowoli. Wkrótce jednak odzyskał spokój. Chciał właśnie z żartobliwym uśmie-

chem rewizorowi coś odpowiedzieć, gdy towarzysz jego podniósł się i zawołał:

— Tu zaszła jakaś pomyłka. Znam tego pana dobrze i ręczę za niego.

Mówiąc to, zrobił ajent gest ręką, jakby rewizorowi na zasłonionéj dłoni coś okazywał.

— Jeżeli tak, to przepraszam za omyłkę — odparł rewizor i ukłoniwszy się wyszedł za drzwi.

— Chodź pan teraz ze mną: —szepnął ajent do ucha młodemu człowiekowi, którego twarz wyrażała dla swego wybawiciela niekłamaną wdzięczność.

XIII.

Na ulicy było w téj chwili dosyć ciemno. Ajent krzyknął na dorożkę, kazał skórę starannie do góry zapiąć i posadził w niéj najprzód młodego towarzysza, a potém sam siadł przy nim.

Podczas drogi przestrzegał starannie, aby młody człowiek nie wyjrzał okienkiem. Zabawiał go rozmową, ubolewając, że w tak brudnéj kawiarni takie głupie napaści znosić trzeba. Upewniał go, że w domu jego daleko wygodniéj będą mogli grę daléj prowadzić, bo jemu trochę odegrać się trzeba.

Młody człowiek był jeszcze pod wrażeniem rewizora policji. Przyjmował wszelkie grzeczności ze strony ajenta, i nie

miał nawet czasu zapytać siebie, do czego te grzeczności zmierzają. Widział tylko przed sobą zapalonego a nieszczęśliwego gracza, który miał nadzieję coś od niego odebrać z przegranych pieniędzy. Ponieważ mu w téj chwili więcéj chodziło o bezpieczny kącik niż o kilka reńskich, postanowił życzeniom swego opiekuna zadość uczynić.

Wreszcie wjechali w małą poprzeczną uliczkę. Ajent wyjrzał okienkiem i poznał kamienicę.

— Zatrzymaj się pan tu chwilę — rzekł zapinając za sobą skórę — ja tylko popatrzę, czy służąca jest w domu.

Za chwilę wprowadziła służąca młodego człowieka do osobnego pokoju, w którym był tylko sam ajent.

Ajent podał gościowi cygaro i przysunął mu fotel. Usiadłszy niedbale w drugim, ozwał się do niego:

— Mam z panem o ważnéj rzeczy pomówić, dlatego chciałbym, abyś mnie pan słuchał z jak największą uwagą. Rzecz

sama tyczy się więcéj pana niżeli mnie, jak to sam się przekonasz.

Słowa ajenta sprawiły na młodym człowieku dziwne wrażenie. Były one wymówione z akcentem zupełnie innym od tego, jaki słyszał przy grze w domino. Ta zmiana roli niepokoiła nieznajomego.

— Najprzód radzę panu — mówił po chwili ajent — abyś pan nie wiedział ani się nigdy nie dowiadywał, kto jestem i gdzie mieszkam. Jeżeliś pan dojrzał ulicy, to zapomnij o niéj i nigdy na nią nie przychodź. To jest pierwszy warunek.

Młodemu człowiekowi uderzyło serce, bo przeczuwał, że tu nie grozi mu nic tak strasznego. Uśmiechnął się i rzekł:

— Warunku tego łatwo dotrzymać, bo rzeczywiście nie wiem, kto pan jesteś, a nawet nie wiem, gdzie się znajduję. Ciemna noc nie pozwoliła mi dostrzedz ulicy. A warunek ten ze strony pana jest bardzo słuszny, gdyż i mnie pan nie znasz, nigdy nie widziałeś, i nie wiesz kto jestem i gdzie mieszkam. Taka spółka najlepsza!...

Ajent patrzał z niekłamaną radością na swego gościa, który prawdopodobnie już układał w swojéj głowie przyszłe plany do gry fałszywéj. Tak sobie zapewne tłómaczył tę dziwną przemowę gospodarza.

— Mylisz się pan — odparł po chwili ajent — jeżeli sądzisz, że warunki nasze są równe. Mnie pan nie znasz i znać nie powinieneś, ja jednak równą miarą panu odwdzięczyć się nie mogę!

— Jakto? Czy pan mnie znasz? — zapytał młody człowiek z niepokojem.

— Pan nazywasz się Zefir *** — ciągnął powoli gospodarz — od roku ukrywasz się przed policją i sądem, zarzucają panu.... (tu wyliczył niektóre rzeczy), a zresztą najlepiéj objaśni pana ten oto list gończy, który przypadkiem dostał się do rąk moich...

Mówiąc to, patrzył ajent z uwagą na młodego człowieka. Była tylko może sekunda, w któréj baczne oko ajenta mogło na twarzy młodego człowieka dopatrzyć się niejakiego zmieszania. Raz tylko jeden drgnęła ta twarz jakimś kurczowym wy-

razem. Wnet jednak spokój jak najgłębszy osiadł na niéj. Z pewną bezczelną odwagą rozśmiał się serdecznie i właśnie chciał coś odpowiedzieć, gdy mu nagle ajent przerwał. Snać nie chciał, aby gość jego zapędził się tam, zkądby wracać musiał.

— Za pozwoleniem — ozwał się — niech wprzódy wszystko wypowiem. Być może, że pan moim słowom zaprzeczyć zechcesz, mniejsza o to. Bądź tylko przekonany, że tego samego zdania co ja, jest także i komisarz policji, który rewizora do kawiarni przysłał, i sąd kryminalny, który ten list gończy kazał drukować. Jeżeli pan masz co przeciw temu, to pan im a nie mnie o tém mówić będziesz. Ja zaś chcę tylko z położenia pana skorzystać i oraz go ocalić.

— Za jaką cenę? — zapytał po chwili z cynicznym wyrazem młody człowiek.

— Za cenę bardzo przyzwoitą — odparł ajent i zamilkł na chwilę.

Młody człowiek zaciągał się tymczasem dymem z cygara z odwagą godną lepszéj

sprawy. Ajent spostrzegł to i widocznie był z odegrania téj trudnéj roli uradowany.

— Jesteś pan w mojém ręku — mówił daléj z uśmiechem — każdéj chwili możesz pan zobaczyć się oko w oko z konsyljarzem kryminału. Proponuję jednak panu interes, z powodu którego będę zmuszony sam czuwać nad panem, abyś był zdrów i wesół i używał wolności jak najroskoszniéj.

Twarz młodego człowieka nie wyrażała dotąd nic takiego, coby było dowodem, że ajent prawdę o jego przeszłości mówił. Była to z jego strony gra mistrzowska. Czekał końca, aby potém powziąć ostateczne postanowienie, czy wejść w interes, czy wszystkiego się wyprzeć.

— Propozycja pana — odrzekł spokojnie z uśmiechem — jest dla mnie tak ciekawą, że zamiast odpowiedzieć panu na niektóre poprzednie słowa, słucham daléj z niecierpliwością.

Ajent milczał chwil kilka, aby słuchającego należycie przygotować do tego, co miał mówić.

— Wiadomo panu — ozwał się z powagą -- że od niejakiego czasu obudziły się w naszym kraju różne dążności cechy narodowéj. Jest to objaw nader chwalebny. Długo spaliśmy, to prawda. Ale z drugiéj strony grozi nam niebezpieczeństwo, że ludzie nierozważni zaprowadzą kraj tam, gdzie on iść nie chciał, i sprowadzą klęskę, która tylko przyszłość naszą tém bardziéj od nas oddali!...

W oczach młodego człowieka zabłysło coś, czego prawdopodobnie ajent nie widział.

— Jakkolwiek kraj, — mówił daléj ajent, — życzy sobie innéj przyszłości, trzeba jednak do niéj zmierzać ostrożnie i na pewnym fundamencie. Emigracja tego nie rozumie, a są między nią ludzie, których posądzać można, że są płatni od wrogów. I źle byłoby z krajem, gdyby w nim nie było stronnictwa pewnego, konserwatywnego, które jedynie coś zbudować może. Że są obok niego stronnictwa gorętsze, to nic nie szkodzi. Przeciwnie, w każdym zdrowym narodzie muszą się ścierać liczne

stronnictwa. Do walki między sobą wybierają stronnictwa różne środki. Otóż pan wstąpisz pod sztandar tego zachowawczego stronnictwa, a ono dostarczy panu środków potrzebnych...

— Czy nie mógłbyś mi pan bliżéj określić to stronnictwo? — zapytał młody człowiek obojętnie.

— Stronnictwo to, — prawił daléj ajent, — chce kraj zachować od nagłych przewrotów, aby handel, przemysł i gospodarstwo krajowe wznosić się mogły, aby fabryki mogły powstać i t. d.

— I czegóż to szacowne stronnictwo żąda odemnie?

— Stronnictwo to przedewszystkiem chce mieć rękę na pulsie narodu, aby wiedzieć, kiedy ten puls bije zdrowo, a kiedy przyśpiesza go gorączka. Trzeba mu wiedzieć, co robią ludzie gorętszego ducha, aby stosownie do tego wybrać środki zaradcze...

— A jakaż byłaby moja rola w tym względzie? — zapytał młody człowiek ciekawie.

—Rola pana, — mówił spokojnie ajent, — byłaby stosowna do czasu i okoliczności. Ponieważ są w kraju emigranci i emisarjusze, to naprzykład... mógłbyś pan jako emigrant lub emisarjusz, do czego postarałbym się panu o kredytywę od samego Lelewela, objeżdżać dwory szlacheckie, bawić się, grać w karty, bałamucić kobiety... a mnie donosić o tém, co pana tam uderzy! Rozumie się, że dla zamaskowania roli byłbyś pan czasem nieszkodliwie ścigany jako emisarjusz, szlachcic poszedłby może na tydzień do kozy, co wobec sprawy narodowéj nadzwyczaj małą jest ofiarą!.. Ale żebyś pan w łapkę nie padł, to moim interesem jest czuwać nad panem i moich przyjaciół, których mam tam, gdzie się pan nawet nie spodziewasz.

Zefir (tak się rzeczywiście nazywał ów młody człowiek) spojrzał na ajenta takiém okiem, jakby głąb jego myśli przeniknął. Mimo to uśmiechnął się rozkosznie, bo dziwnie ponętne obrazy rozko-

sznego życia przeciągały w téj chwili przed jego duszą...

Ajent w téj chwili wyjął z kieszeni rulon złota, przedzielił go na połowę i rzekł:

— Tymczasem na drobne wydatki masz pan tu nieco. Jutro rano przyjdę na Ruską ulicę, a wtedy pomówimy o dalszych rzeczach. Strzeż się pan tylko rewizora policji...

Tu powstał ajent i podał Zefirowi rękę na pożegnanie. Zefir poczuł złoto na téj ręce, zadrżał jakąś dziwną rozkoszą i sam nie wiedział, kiedy zszedł ze schodów i w ciemnéj znalazł się doróżce. Gospodarz odwiózł go różnemi uliczkami i wysadził na ulicy Ruskiéj. Sam zaś uradowany i rozpromieniony wrócił do córki.

XIV.

Wieczerza odbyła się przy rozmowie nader ożywionéj. Wszyscy byli dzisiaj w jakiémś usposobieniu wyjątkowém. Jakaś radość, jakieś zadowolenie wybijało się na każdéj twarzy. Cała atmosfera była dzisiaj inną.

Anna miała w oczach dziwny wyraz. Paliła się tam jakaś myśl wcale nowa, jaśniało świeże, dopiero co doznane uczucie. Z dziewiczą rozkoszą oddawała się cała temu uczuciu i po każdéj przerwie, sprawionéj powszechną rozmową, wracała szybko do niego. Usta jéj drżały niewypowiedzianym wdziękiem, na bladych licach rysował się jakiś świetlany rumieniec, który często zagłębiał się w ruchome, po całéj

twarzy biegające dołeczki, jakich pierwéj nigdy tam nie było. Czasami nawet bladł ten rumieniec i ustępował niejako chwilowéj trwodze...

Jerzy miał także dzisiaj twarz rozpromienioną. Rozmowa z Anną, nim ojciec przyszedł, poruszyła tyle strun dziewiczych w jego duszy, że dotąd jeszcze słyszał ich głuche, przytłumione drżenie.. Przypomnienie zaś żołnierza stojącego na grobie nieboszczyka więźnia zaprowadziło go w ulubioną jego krainę marzeń, do któréj nigdy nie zbliżał się z sercem spokojnie bijącém! Dotąd jeszcze biło to serce tętnem przyspieszoném...

Skałobrodzki był również w humorze nadzwyczajnym. Zagrożona jego pozycja została uratowaną. Był pewny, że za pomocą tego kupionego człowieka będzie mógł dla jenerała układać tak drastyczne raporty, o jakie ani dyrektor ani prezydent nawet pokusić się nie mogą!

Nieszczęśliwy ajent tak dawno marzył o wytropieniu jakiego emisarjusza, marzenie to stało się niejako nawet potrzebą

jego życia, a przecież dotąd nie udało mu się trafić choćby na zwietrzały ślad upragnionéj zwierzyny. Jenerał wymawiał mu to często, groził nawet wymówieniem pensji, ale to wszystko nie pomogło. Dyrektor i prezydent dostawali ich tam jakoś, a przynajmniéj donosili o leżyskach tego drogiego zwierza, a tajny ajent jenerała przychodził zawsze z próżnemi rękami, czém poczciwego swego chlebodawcę mocno irytował.

Dzisiaj jednak wymyślił szczęśliwy ajent wyborny plan zadośćuczynienia jenerałowi. Najął sobie człowieka, który miał po dworach udawać emisarjusza. Korzyść ztąd była nieobliczona. Najprzód z doniesień tego człowieka może dla jenerała raporty układać, a powtóre, może także raportować o mniemanym emisarjuszu, i ścigać go udanym manewrem. Cel więc podwójny był osiągniony. Ajent dawał dowody roboty swojéj i sprytu, a jenerał mógł dać dowody ministrowi, że „tajnego funduszu“ dobrze używa!

Wszystko to dostarczało wieczerzy nie-

kłamanéj radości. Jakże jednak inaczéj wypadłaby ta radość, gdyby wszyscy odsłonili byli przed sobą swoje utajone myśli i marzenia? Jak bolesném byłoby rozczarowanie?

Nikt z obecnych tego nie przeczuwał, a jednak w téj chwili zawiązywał się dziwny dramat, który w ostateczném rozwiązaniu miał przynieść nagrodę lub karę według tego, co który zasłużył!..

Anna marzyła o pięknym nieznajomym, któremu dała duszę Jerzego, marzyła o spotkaniu się gdzieś z nim na tajemniczych drogach jego, do czego już przez ojca miała nić nawiązaną... Nieznajomy miał już u niéj szaty bohatera i poszedł tylko po więcéj laurów, więcéj zasług, które złożyć ma kiedyś u jéj nóg...

Jerzy przeniewierzył się dzisiaj widocznie swojéj zasadzie, że wielkiéj myśli nie można poświęcać pół-serca i pół-duszy. Jeżeli nie połowę, to jakąś część odkroił dzisiaj od duszy swojéj i dał ją pięknéj kobiecie, na któréj twarzy czytał teraz wiele, bardzo wiele pochlebnych dla

siebie rzeczy!.. Zbierał w pamięci jéj słówka dzisiejsze, tak dziwne, tak zagadkowe, jakby tylko od pozostałego w duszy pasma urwane! A słówka te, ten rumieniec kryjący się po dołkach jéj twarzy, te oczy jaśniejące niewidzianą dotąd rozkoszą, uderzyły tak natarczywie na jego zimny, wszystko obliczający rozsądek, że w téj chwili o wielu rzeczach zapomniał, o których wiedzieć byłby powinien; zapomniał, że w słowach Anny, wyrzeczonych do niego przed wieczerzą, nie było dla niego wiele obiecującéj nadziei, w zwykłém znaczeniu tego słowa, zapomniał nawet, że jest — garbaty!

Serce ma pewne prawa, które realizuje czasem w sposób dziwny. Rozum, rozsądek i doświadczenie mówią mu wyraźnie, że tych praw nikt nie uzna. Serce zgadza się nawet z tym wyrokiem. A jednak, jeśli się pora stosowna wydarzy, jeżeli rozum i doświadczenie na chwilę się usuną, wtedy jak sługa przebrany za pana hula sobie w pańskich salonach, chociaż

wie o tém dobrze, że za chwilę trzeba się cofnąć do — przedpokoju.

Być może, że i z sercem Jerzego coś podobnego się stało.

Ojciec Anny marzył o swoim emisarjuszu i sam sobie zazdrościł tak trafnego konceptu. Kupił upadłego człowieka, aby go jeszcze daléj popchnąć, zawieść tam, zkąd się już nie wraca...

A człowiek ten był w téj chwili w marzeniach Anny bohaterem i zabierał miejsce w jéj sercu dziewiczém...

W tych kilku chwilach zawiązał się już cały dramat!

Jakże inaczéj przedstawiłyby się te chwile, gdyby każda z działających osób wiedziała myśli drugich...

Ponieważ jednak na tajemnicy marzeń i zamysłów ludzi opierają się podwaliny każdego dramatu w życiu i na scenie, toż i osoby uczestniczące przy wieczerzy pozostały mimowoli wierne téj zasadzie i mimowoli zawiązały między sobą dramat, którego ostatni akt trwoży nas, co najmniéj, niepewnością!

Anna nie powiedziała ani ojcu, ani Jerzemu, dlaczego jéj oczy dzisiaj tak jasno świeciły, i miała słuszność, bo któż mówi kiedy o swoich marzeniach, choćby nawet najlepszym przyjaciołom?..

Jerzy nie mówił także w czasie wieczerzy, dlaczego na chwilę rozum jego i rozsądek spoczęły, i dlaczego serce jego podobnie w téj chwili robiło, jak przebrany za pana sługa, który po pańskich salonach hula...

Ojciec Anny miał najsłuszniejsze ze wszystkich powody, dlaczego z myślą swoją się taił. I każdy nawet uzna te powody należycie. Inaczéj nie mógł sobie postąpić. Plan bowiem jego wymagał nieprzebitéj tajemnicy.

I tak wszyscy troje zakończyli ten dzień zadowoleni z siebie i z ludzi. Pożegnali się z całą serdecznością. Być może, że nawet pragnęli teraz samotności, aby w niéj dać zupełną folgę wezbranéj duszy.

Anna, gdy się ujrzała samą, zapragnęła wypowiedzieć piękne marzenia swoje mową nadzwyczajną, którą nie każdy zro-

zumie. Siadła do fortepianu i zaczęła grać, chociaż już była godzina późna.

Zdawało się jéj, że dusza nieznajomego, którego dzisiaj ujrzała, nie może być obojętną na tyle przyśpieszonych uderzeń serca, których był powodem. Zdawało jéj się, że ta dusza, przywołana nieodpartém pragnieniem jéj serca, błąka się zapewne w atmosferze tego pokoju, otacza jéj główkę rozmarzoną!.. Z tą duszą chciała teraz rozmawiać, chciała jéj się zwierzyć, chciała ją przycisnąć do serca, aby uczuło, jak ono bije głośno...

Anna grała pięknie, grała wzniośle, jak jeszcze może nigdy nie grała!.. A skarżące się tony odbijały się o biały mur więzienny, o żelazne, grube kraty u okien... i może niejednemu więźniowi posłały sen słodki, sen o wolności, o rodzinie, o polach rozkosznych, na których niegdyś wolny uganiał!..

W przyległym pokoju, z wszelką wygodą starego gospodarza układał się ajent do spoczynku. Był on rzeczywiście w téj chwili podobny do zamożnego gospo-

darza, który długoletnią pracą swoją doszedł wreszcie do tego, że mógł sobie nająć parobka, któryby na niwie za niego pracował. Już spokojnie mógł spocząć, bo o świcie wstanie parobek, weźmie pług i bronę i pójdzie robić według jego dyspozycji...

Ajent uśmiechał się z nadmiaru szczęścia swego, a gasząc świecę westchnął do Boga w podziękę, że dzień dzisiejszy przyniósł mu tak niespodziewane szczęście! Byłby nawet pacierz zmówił, gdyby go nie był zapomniał...

Jerzy marzył także chwilkę na swojém poddaszu. Marzenie jednak jego nie trwało długo. Przypomniał sobie, że marzenie to strata czasu, biesiada egoizmu, jak się zwykł wyrażać, i mimo spóźnionéj pory siadł do stolika i wziął się do pracy. Przepisywał on już poraz dziesiąty historję Polski...

A kiedy na wieży bernardyńskiéj wybiła godzina druga po północy, wstał od stołu i zbliżył się do okna, aby o jutrzejszéj pogodzie coś sobie wywróżyć. Otwo-

rzył wązkie okno i spojrzał na niebo... a wtém południowy, ciepły wietrzyk przyniósł mu do ucha jakieś dalekie, dziwnie brzmiące akordy fortepianu...

Słuchał czas niejaki. Gra była biegła, ręka wprawna, wyraz dziwnie melancholijny.

— Biedna duszo! — rzekł do siebie po chwili, — pomiędzy śpiącymi szukasz czuwającego serca! Mówisz do niego mową duchów... czyż cię kto usłyszy?.. Ach tylu śpiących, kiedyż się wszyscy zbudzą? Czy może ich zbudzić harmonja, czy tylko orkan, co wszystko wywraca?.. Nie, orkan zabija ale nie budzi!.. Harmonji, harmonji nam trzeba!.. Graj smutna duszo, graj o północnéj dobie, harmonja to świat, to Bóg!... to jedyna broń nasza, która prowadzi nas do zwycięztwa!.. Myśmy upadli, że w społeczeństwie naszém nie wyrobiliśmy harmonji — harmonją tylko napowrót powstać możemy!... Wszystko inne jest tylko mrzonką, jest bolesnym paroksyzmem, który nam nigdy życia nie da!..

* *
*

O téj saméj godzinie rozeszli się ostatni goście z kawiarni żydowskiéj przy ulicy Ruskiéj. Po odbytéj szczęśliwéj partyjce, po dziesięciu szklankach ponczyku wchodził właśnie Zefir do alkierza, aby poraz ostatni przespać się w betach żydowskich. Od jutra miał prowadzić inne życie, miał innym być człowiekiem!

Uśmiechnął się roskosznie, ciągnąc na siebie brudną pierzynę, bo w téj chwili w całym uroku stanęły przed nim wykwintne wygody życia, jakich od dnia jutrzejszego miał używać!...

Jakkolwiek przebiegły ajent dosyć zręcznie właściwy charakter jego przyszłéj służby zamaskował, wrodzona jednak przenikliwość jego kazała mu się domyślać, o co właściwie mniemanemu konserwatyście chodziło. A na to, czego się domyślał, zgodził się bez najmniejszego wahania. Nic nie było w jego duszy, coby mu kazało wzdrygnąć się na ten domysł szkaradny. Były tam pustki, okropne pustki. Ani nauka, ani doświadczenia nie włożyły tam nic szlachetnego. Od lat dziecinnych

rósł na próżniaka, ogładzał się tylko zewnętrznie, bo to dawało przystęp do świata. Prócz niewielkiego zasobu francuzczyzny nic więcéj nie posiadał. O historji narodu swego nie miał nawet wyobrażenia. Tyle tylko umiał o niéj powiedzieć, co przypadkiem zasłyszał, a to było bardzo mało!

Przy takiém ubóstwie umysłu łatwo mu było zgodzić się z nowym swoim losem. Nie czuł bynajmniéj jego plugastwa, bo nie miał nawet zmysłu ku temu. A cokolwiek mogło być w nim lepszego, to zamarło zupełnie przez życie jego dotychczasowe, pełne rozpusty i podłości.

W nowéj więc służbie swojéj widział tylko same jasne barwy. Od dnia jutrzejszego wchodził w towarzystwo ludzi, do którego często ukradkiem wzdychał, a w którém nigdy nie był! Wchodził nietylko jako równy między równych, ale nawet przewyższał ich swoim charakterem przybranym i aureolą patrjotyzmu.

To téż pod brudną żydowską pierzyną marzył o wykwintnych komnatach dwo-

rów szlacheckich, marzył o gościnnych mieszkańcach tych dworów, którzy odtąd otaczać go będą wszelką wygodą życia!.. Marzył o kartach i winach francuzkich, a koroną tych wszystkich marzeń były piękne oczy i czułe serduszka, które w takim razie na rozcież otwierają się dla apostołów sprawy narodowéj...

Takie tworzył sobie obrazy przyszłéj służby swojéj, i nie widział nawet niebezpieczeństwa, jakieby go na téj drodze tak łatwo spotkać mogło. A niebezpieczeństwo groziło z dwóch stron naraz. Z jednéj strony wychylało się dosyć niemile jakieś niesmaczne drzewo o rozsochatych konarach, którego jedna sucha gałąź arcy sentencjonalnie sterczała nad jego głową.... a z drugiéj strony groził mu rewizor policji...

W nadmiarze jednak szczęścia nie widzimy żadnych chmur na niebie...

* * *

Za dwa dni siedział jenerał przy zwy-

kłém swojém śniadanku w towarzystwie najlepszych swoich przyjaciół. Twarz jego była rozpromieniona. W rozmowie był bogaty w dowcipy, chociaż kieszeń jego była uboższą o jeden rulon złota....

— A co, — ozwał się po piątym kieliszku wina, — nie powiedziałem wam, że ani prezydent ani dyrektor nie dokażą tego, co ja?... Nic nie wiedzieli jak w rogu! Darmo pieniędzy tyle biorą z tajnego funduszu!... A tymczasem (mówię wam w sekrecie) przybył przed kilkoma dniami bardzo ważny wysłannik z Paryża.... siedział spokojnie w mieście i spiskował.... dopiero ja o tém doniosłem arcyksięciu i ministrowi!

— Czy to prawda, — zapytał komisarz wojenny, — że w żydowskiéj kawiarni za piecem znaleziono jakieś bardzo ważne papiery? Miał to być cały plan powstania, dokumenty, że jedno z mocarstw europejskich...

— Mówię wam — prawił daléj w nadmiarze szczęścia jenerał, — sąd boży był w gabinecie arcyksięcia, gdym wpadł z

tém doniesieniem. Dyrektor policji tak poczerwieniał ze złości, że mu to jedyne oko mało nie wylazło, a długi, chudy prezydent zbladł i był tak biały jak mundur naszego żołnierza!... Zrazu nie wierzyli, ale gdy wysłano rewizję na Ruską ulicę i papiery znaleziono...

— Cóż właściwie zawierały te papiery, — zapytał audytor, biorąc szklankę wina do ręki.

— Papiery... papiery, — ciągnął powoli jenerał, — co zawierały papiery, to jest dzisiaj jeszcze tajemnicą sądu... wprawdzie są tu tylko jakieś niedokładne ułamki, z czego jednak sprytny referent coś wybornego ułożyć potrafi!... Powiadają, że pewien francuzki zoolog z jednego znalezionego pazurka wyrysował całe zaginione zwierzę przedpotopowe. Dlaczegóżby nasz prześwietny sąd, znany z takich odgadywań, czegoś podobnego nie dokazał?

— A cóż się stało z tym niebezpiecznym wysłannikiem? — zapytał intendent prowjantów.

— Uciekł ptaszek!... — odparł smutno jenerał, — ale moja policja jest już na tropie....

Téj saméj, mniéj więcéj treści toczyły się w tym dniu rozmowy we wszystkich domach stolicy, w kawiarniach i szynkach, na poddaszach i w ubogich izdebkach przedmieścia. Nie było zakątka, nie było żebraka, któryby o tém dzisiaj nie mówił. I jak to zazwyczaj w takich razach bywa, do faktu rzeczywistego dodano mnóstwo akcesorji, które właśnie sam fakt do niepoznania zmieniły, oświetlając go światłem nadzwyczajném!...

I znowu mówiono wiele, bardzo wiele o Polsce, o pewném państwie europejskiém...

I zbudziło się znowu wielu, co dotąd spali snem błogosławionych, i zaczęli myśleć o tém, o czém dotąd nigdy nie myśleli!... Żydowska kawiarnia przy Ruskiéj ulicy była oblężoną przez ciekawych...

A śród tych rozruszanych tłumów był człowiek z rulonem złota w kieszeni i w skromności swojéj przysłuchiwał się rozmowom o dziele, którego był autorem!...

Biedny autor! Był on w téj chwili podobnym do poety piosnki ludowéj. Piosnkę pochwycił lud, śpiewał ją na tysiące głosów, ale o nazwisku poety nie wiedział!.

Człowiek z rulonem złota w kieszeni pragnął w téj chwili także téj niewdzięczności....

Koniec tomu pierwszego.